

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Wielka i całkiem nieoczywista klubowa kariera Roberta Lewandowskiego

● Opowieść o „Skarbie tysiąclecia” ze Środy Śląskiej ● Ballada o Jacku Zejdlerze, serialowym Tolku Bananie

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV



GŁOS DZIENNIK POMORZA SZCZECIŃSKI

Piątek
22.05.2026

Nr 117 (5875)
Nakład: 9.390 egz.

www.gs24.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Rozmowa z Danielem
Dziewitem, terapeutą
uzależnień, ekspertem
ds. zdrowia
psychicznego **str. 2**

Wojewoda
zdecydował: barki,
które cumują koło
Mostu Długiego, będą
usunięte **str. 4**

Ludzie. Widzą świat
inaczej. I sięgają
własnych gwiazd

Nr ISSN 0137-9178

Nr indeksu 348-570



TYGODNIK REGIONÓW – STR. 14

Tarcza w Redzikowie. 10 lat temu wbito pierwszą łopatę



Baza tarczy antyrakietowej w Redzikowie ma bronić Europę i NATO przed uderzeniem z powietrza **TYGODNIK REGIONÓW – STR. 12-13**

Mieszkańcy Sławoszewa nie chcą Miejskiej Obsługi Podróżnych i parkingu dla TIR-ów koło swoich domów **str. 4**



REKLAMA

0011516838

KENO MNOŻNIK

Wygraj **2 000 000 zł** i więcej!

Ale to kręzęęęę!

Graj z Mnożnikiem

Gdy grasz, wszystko gra!

Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl

18+

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Izabela Kuna. O aktor- stwie marzyła od dziecka	PONIEDZIAŁEK ● Sportowy24: Grali na bo- iskach, grali na parkietach	WTOREK ● Strefa Biznesu: W gąsz- czu ekonomii nie zginięsz	ŚRODA ● Strona Zdrowia: Perła uzdrowisk Beskidu	CZWARTEK ● Pod Paragrafem: Kryminal tango. Picie po warszawsku	PIĄTEK ● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości
---	--	---	--	---	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

Algorytmy „tresują” dzieci, a szkoły oddają je Big Techom

Mira Suchodolska (PAP)
Rozmowa

z Danielem Dziewitem, terapeutą uzależnień, publicystą, pisarzem i ekspertem ds. zdrowia psychicznego

„Enter i znikasz” to książka o smartfonach, uzależnieniach czy o tym, że cywilizacja właśnie się wykołubiła? To jest książka głęboko humanistyczna. O człowieku, którego algorytmy zaczęły tresować dokładnie tak, jak kiedyś tresowano zwierzęta w cyrkach. Dzisiaj oburzamy się, gdy ktoś wykorzystuje słonia albo tygrysa dla rozrywki, natomiast zupełnie normalne wydaje nam się masowe uzależnianie ludzi - i to od najmłodszych lat - przez platformy technologiczne. Ta książka jest próbą przypomnienia, że człowiek ma prawo do wysiłku, skupienia, cierpliwości, do przeżywania porażek i sukcesów w realnym świecie. Tymczasem algorytmy robią wszystko, żebyśmy byli impulsywni, rozleniwieni i niezdolni do dłuższej koncentracji. One zarabiają wtedy najwięcej.

Mówi pan wręcz o utracie dzieci przez rodziców.

Bo wielu rodziców naprawdę traci swoje dzieci. Nie fizycznie, ale psychicznie i emocjonalnie. Dziecko siedzi obok ojca czy matki na kanapie, ale mentalnie już dawno mieszka w TikToku, Discordzie albo w świecie gier komputerowych. I to nie jest wyłącznie kwestia samego ekranu. Wraz z tym znikają relacje, autorytety, szacunek do szkoły, pracy, sportu, a nawet do sukcesu. W swojej praktyce spotkałem młodego sportowca, który odnosił realne sukcesy, ciężko trenował, wygrywał zawody, ale został brutalnie wyśmiany w internecie tylko dlatego, że na zdjęciu był spocony i miał „głupi” grymas twarzy. Dla świata cyfrowego ważniejsze okazało się to jedno zdjęcie niż jego wysiłek i osiągnięcia.

W książce apeluje pan, żeby dzieciom dawać gotówkę zamiast kart i Blika. Brzmi to jak



Daniel Dziewit:
- Prawdziwe pieniądze uczą myślenia, liczenia i odpowiedzialności

technologiczny konserwatyzm.

Nie chodzi o żaden konserwatyzm, tylko o zdrowy rozsądek i podstawowe kompetencje życiowe. Coraz częściej obserwuję młodych ludzi pracujących w sklepach czy gastronomii, którzy mają problem z wydaniem reszty albo rozpoznaniem wartości banknotów. Patrzą na gotówkę jak na muzealny eksponat.

Kilka dni temu kupowałem kawę i lody. Dziewczyna przy kasie tak pogubiła się przy wydawaniu pieniędzy, że poprosiła mnie, żebym sam sobie wyliczył resztę. Okazało się, że pomyliła się na swoją niekorzyść. To nie jest zabawna anegdota. To pokazuje, że technologia odbiera ludziom elementarne umiejętności. Prawdziwe pieniądze uczą myślenia, liczenia i odpowiedzialności. Kiedy płaci się telefonem albo zegarkiem, wydawanie pieniędzy staje się całkowicie abstrakcyjne. Człowiek traci kontakt z realną wartością tego, co wydaje. Nie przypadkowo wraz z rozwojem płatności cyfrowych eksplodowały długie, chwilówki i kompulsywne zakupy.

Mocno krytykuje pan też szkoły i nauczycieli.

Bo część szkół zachowuje się dziś jak darmowi naganiacze wielkich korporacji technologicznych. Proszę sobie wyobrazić sytuację: druga klasa szkoły podstawowej, a nauczycielka zachęca dzieci do zakładania grupy na WhatsAppie. Dzieci robią to bez żadnego dorosłego

administratora i potem wszyscy są zdziwieni, że pojawia się hejt, przemoc, pornografia albo poniżanie słabszych. Ja wtedy pytam: kto tam te dzieci wprowadził? Zuckerberg? Meta? Nie. Zrobili to dorośli, którzy sami później rozkładają ręce.

Padają u pana bardzo mocne słowa o rodzicach.

Bo wielu rodziców po prostu boi się wychowywać. Boi się zakazów, konsekwencji i stawiania granic. Tymczasem dziecko nie potrzebuje w domu kolegi ani kumpla od scrollowania TikToka. Ono potrzebuje rodzica. Jeżeli rodzic mówi: „Nie pozwolę, żeby ktoś rył psychikę mojego dziecka”, to nie jest żadna przemoc. To jest odpowiedzialność. Ja często powtarzam, że zakaz powinien być skierowany nie przeciwko dziecku, ale przeciwko platformie, która zarabia na uzależnieniu młodych ludzi.

Pisze pan, że dzieci szantażują rodziców nawet groźbami samobójstwa.

I niestety dzieje się to coraz częściej. Rodzic słyszy: „jak zabierzesz mi telefon, to się zabiję”. Włos staje mu wtedy dęba na głowie, bo nie wie, czy to manipulacja, czy realne zagrożenie. Nie wie, czy ma dzwonić po psychiatrę, karetkę czy policję. Najczęściej kończy się to kapitulacją. Rodzic odpuszcza i oddaje stery uzależnionemu dziecku. To ono zaczyna decydować, ile czasu spędza w sieci, kiedy śpi i jak funkcjonuje cały dom.

Kiedy rodzice próbują jednak postawić granice, dochodzi do awantur, wyzwick, agresji, a czasem nawet interwencji policji. Nazywam to „smartfonowymi libacjami”. Rodzice wyłączają internet, a dziecko wpada w furie jak człowiek na głodzie narkotykowym. Zdarza się, że dzieci fizycznie atakują swoje mamy i ojców, bywa, że za pomocą niebezpiecznych narzędzi.

Stwierdził pan, że technologie są „prostackie”.

Bo w dużej mierze są. Scrollowanie polega na tym, że czło-

wiek leży i bez końca przesuwając palcem po ekranie. To nie wymaga wysiłku, refleksji ani cierpliwości. To jest czynność skrajnie prymitywna, choć opakowana w nowoczesny design i marketing. Problem polega na tym, że im prostsza jest technologia, tym bardziej uzależnia. Człowiek przestaje ćwiczyć pamięć, skupienie i wytrwałość. Wszystko ma być szybkie, natychmiastowe i bezwysiłkowe. Potem słyszymy od nastolatki, że „książki śmierdzą starymi ludźmi” - tak powiedziała nastoletnia uczestniczka jednego z badań czytelnicwa i czasu spędzanego w sieci. I to nie jest już śmieszne. To jest symbol ogromnego kryzysu kulturowego. Książka wymaga skupienia, ciszy, wyobraźni i cierpliwości, czyli dokładnie tego, czego współczesny świat cyfrowy próbuje człowieka oduczyć.

Dużo mówi pan też o seksualizacji internetu i zagrożeniach dla dzieci.

Bo skala tego zjawiska jest gigantyczna. Pedofilia była obecna od zawsze, ale internet stworzył dla niej niewyobrażalne wcześniej możliwości. Wystarczy spojrzeć na ostatnie akcje służb, podczas których zatrzymywano dziesiątki osób posiadających setki tysięcy materiałów pornograficznych z udziałem dzieci. I my naprawdę nadal udajemy, że głównym problemem jest wyłącznie „czas ekranowy”? Do mojego gabinetu trafiają rodzice kompletnie rozbici psychicznie. Zagubieni, przestraszeni, często pełni poczucia winy. Szukają sposobu, żeby odzyskać kontakt z własnym dzieckiem. Ta książka powstała właśnie z obserwacji ich bezradności.

PAP: Opowiada pan też historię 20-latkę uzależnionego od VR.

Policzyliśmy wspólnie, ile czasu spędził w świecie gier i VR-u. Wyszło około 20 tysięcy godzin. To ponad dwa lata życia bez przerwy przed ekranem. Natomiast około pięciu tysięcy godzin spędził w okularach VR. ©©

KALENDARIUM

**22 MAJA
POLSKA**

1733 Sejm konwokacyjny przyjął uchwałę o wykluczeniu kandydatów cudzoziemców do korony polskiej. Decyzja została obalona przez wojska rosyjskie. Pod ich nadzorem wybrano królem Augusta III Sasa.
1910 Po kradzieży w październiku 1909 roku koron z obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej dokonano jego ponownej koronacji koronami podarowanymi przez papieża Piusa X.
1911 We Lwowie powstały pierwsze 4 drużyny skautowe powołane m.in. przez Andrzeja Małkowskiego. Okres od września 1910 do maja 1911 uważa się za początek ruchu harcerskiego w Polsce.
1989 Po trwającym 4 lata sporze dokonano rozgraniczenia wód te-

rytorialnych między Polską a NRD.
ŚWIAT
334 p.n.e. Aleksander Macedoński rozpoczął podbój Persji i odniósł zwycięstwo w bitwie nad rzeką Granik w północno-zachodniej Anatolii.
1762 W Rzymie została odsłonięta fontanna di Trevi.
1922 Uważany za ojca współczesnej klimatyzacji Amerykanin Willis Carrier zaprezentował działanie nowego urządzenia chłodniczego ze sprężarką 4-środkową.
1939 Niemcy i Włochy podpisały w Berlinie tzw. Pakt stalowy.
1973 Pracujący w Xerox PARC amerykański informatyk Robert Metcalfe opublikował notatkę opisującą koncepcję sieci Ethernet.

ZDJĘCIE TYGODNIA



Szczecińska para tancerzy tańca towarzyskiego Mykola Putilin oraz Selena Korzeniewicz zdobyła tytuł mistrzów świata 2026 w tańcach standardowych w kategorii do lat 19. To kolejny sukces na koncie duetu. Miesiąc wcześniej zdobyli złoto ME. Selena i Mykola to też mistrzowie Polski oraz zwycięzcy najstarszego i najbardziej prestiżowego turnieju tańca towarzyskiego - Blackpool Dance Festival.

Nasz REGION

Pisemne matury za nami. Zostały jeszcze do zaliczenia egzaminacje ustne

Leszek Wójcik
Szczecin

21 maja zakończyły się egzaminacje pisemne. Ustne potrwają do końca przyszłego tygodnia.

Egzamin dojrzałości w całej Polsce rozpoczął się w tym roku 4 maja, zaraz po tzw. długim weekendzie. Jak zawsze, pierwszego dnia absolwenci szkół ponadpodstawowych rozpoczęli maraton egzaminacyjny od języka polskiego. Następnego dnia pisali z matematyki, a trzeciego z języka obcego, nowożytnego (czyli angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, niemieckiego, rosyjskiego, ukraińskiego i włoskiego) na poziomie podstawowym.

Potem maturzyści podchodzili do egzaminów z wybranych przez siebie przedmiotów na poziomie rozszerzonym. Etap matury „pisemnej” już się zakończył. Co nie znaczy, że abiturienti mają już maturę za sobą - ona trwa do końca maja.

Pozostały im jeszcze do zaliczenia egzaminacje ustne z języka polskiego. Będą je zdawać do końca tego tygodnia (do 23 maja), a w przyszłym tygodniu, od czwartku do soboty. Egzamin w szkołach jest przeprowadzany według harmonogramów ustalonych przez przewodniczących zespołów egzaminacyjnych. Również do 30 maja odbywać się będą egzaminacje ustne z języków mniejszości narodowych i języków obcych nowożytnych.



Wyniki matur poznamy dopiero 8 lipca

SZCZECIN

Zmarł 19-letni funkcjonariusz Straży Granicznej, a dwie osoby trafiły do szpitala. Do zdarzenia doszło z poniedziałku na wtorek na terenie jednego z internatów w Szczecinie. - Mężczyźni spożywali w internacie alkohol. Rano w łóżku znaleziono ciało 19-latka. Dwaj pozostali funkcjonariusze trafili do kliniki PUM przy ul. Broniewskiego. Wstępnie wykluczono udział osób trzecich. Prokuratura wszczęła śledztwo. **PAP**



FOT. ARCHIWUM

DYŻURNY GŁOSU

Leszek Wójcik,
tel. 500 325 110
Na naszych Czytelników czekamy w redakcji Głosu Szczecińskiego w Szczecinie przy al. Niepodległości 26/U1 oraz pod adresem: alarm@gs24.pl

Wojewoda wchodzi na barki. Zostaną usunięte zastępczo

Mariusz Parkitny
Szczecin

Barki, które bezprawnie cumują przy Moście Długim w Szczecinie zostaną usunięte. Wojewoda zachodniopomorski znalazł sposób.

O sprawie wraków Daria i Konrad pisaliśmy już wielokrotnie. Mimo kolejnych wezwań, właściciel ich nie usuwa. Wraki nie tylko szpecą, ale również utrudniają swobodny przepływ wód i mogą stanowić zagrożenie ekologiczne.

Na właściciela nakładane są administracyjne kary pieniężne. Kolejnym etapem będzie decyzja o tzw. wykonaniu zastępczym, czyli usunięciu wraków na koszt właściciela. Procedura ta jest jednak skomplikowana i długotrwała, znacznie bardziej niż w przypadku wraków porzuconych samochodów na drogach publicznych. I właśnie wykonanie zastępcze uruchamia wojewoda zachodniopomorski.

- Na wniosek Urzędu Żegluga Śródlądowej wojewoda zachodniopomorski wydał postanowie-



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Obie jednostki trudno traktować jako atrakcję miasta. Jest szansa, że zostaną odholowane

nie o wykonaniu zastępczym w sprawie jednostek Daria i Konrad zacumowanych w Szczecinie. Obie jednostki miały zostać wcześniej skierowane do miejsc postojowych wycofanych z eksploatacji, jednak właściciel nie wykonał tego obowiązku mimo wezwań i nałożonych kar

finansowych - wyjaśnia Paulina Heigel z urzędu wojewódzkiego w Szczecinie.

W związku z brakiem reakcji ze strony armatora wojewoda zdecydował o zastosowaniu tzw. wykonania zastępczego. Jednostki zostaną usunięte przez wyznaczony pod-

miot na koszt właściciela. Szacunkowy koszt operacji wynosi w sumie 30 tys. zł.

- Armator został wezwany do wpłaty zaliczki w tej wysokości w ciągu 14 dni od dnia otrzymania zawiadomienia. W przypadku braku płatności należność zostanie ściągana w trybie egzekucji administracyjnej - dodaje Paulina Heigel. - Decyzja została podjęta ze względu na uporczywe niewykonanie obowiązku usunięcia jednostek oraz potencjalne zagrożenia związane z dalszym pozostawianiem jednostek w obecnym miejscu.

Sprawę skomentował radny Szczecina Stanisław Kaup, który był inicjatorem apelu rady miasta do rządu, aby zmieniono przepisy dotyczące bezprawnego cumowania jednostek.

- To ważny krok w stronę uporządkowania tej sprawy i jasny sygnał, że przepisy dotyczące bezpieczeństwa oraz odpowiedzialności właścicieli jednostek pływających muszą być skutecznie egzekwowane - ocenił. ©©

Wieszał kartki z krzyżami na płocie i podpałał, aby dopiec sąsiadowi

Mariusz Parkitny
Kamień Pomorski

Sądowy finał sąsiedzkiego konfliktu pod Kamieniem Pomorskim. Dariusz J. odpowie za uporczywe nękanie sąsiada i sąsiadki. Lista zarzutów jest długa.

Śledztwo w tej sprawie zakończyła Prokuratura Rejonowa w Kamieniu Pomorskim.

49-letni Dariusz J. miał przesładować sąsiada przez prawie pół roku, od lipca do listopada

2025 roku. I nie chodziło wcale o to, że nie mówił mu dzień dobry, czy był opryskliwy. Lista przestępstw jest długa i poważna.

- Dariusz J. uporczywie nękał swojego sąsiada poprzez wielokrotne wypowiedanie pod jego adresem słów obelżywych, groźbę mu pozbawieniem życia, spaleniem domu, a nadto wielokrotnie strzelał w dom pokrzywdzonego i w pokrzywdzonego z wiatrówek oraz rzucał butelkami i kamieniami w jego po-

sesję oraz dom - wylicza prokurator Julia Szozda z Prokuratury Okręgowej w Szczecinie.

Oskarżony miał też wieszać na ogrodzeniu zniechędzonego sąsiada kartki z literami i znakiem krzyża, które następnie podpałał.

- W ten sposób wzbudził u pokrzywdzonego uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia i uzasadnioną obawę realizacji gróźb, a nadto wywołał stan udręczenia oraz istotnie naruszył prywatność

pokrzywdzonego - dodaje prokurator.

Przerażony sąsiad zawiadomił policję i złożył wyjaśnienia.

Jednocześnie ustalono, że oskarżony działał również w celu wywarcia wpływu na pokrzywdzonego, będącego świadkiem w innej sprawie prowadzonej w Sądzie Rejonowym w Kamieniu Pomorskim.

Ponadto Dariusz J. został oskarżony o posiadanie środków odurzających i psychotro-

powych: marihuany i siarczanu amfetaminy, które u niego znaleziono.

Ale to nie koniec sprawy między sąsiadami. Okazało się, że Dariusz J. miał podejmować przestępcze działania w stosunku do kolejnego mieszkańca, tym razem kobiety. I ponownie miał wykorzystywać wiatrówek, aby wzbudzić obawę kobiety o własne życie.

- Dwukrotne zakłócenie miru domowego pokrzywdzonej, kierowanie gróźb karal-

nych spowodowania uszkodzenia ciała, poprzez celowanie z wiatrówek w kierunku pokrzywdzonej - wylicza prokurator Julia Szozda.

Mimo poważnych dowodów, Dariusz J. nie przyznał się do winy. Dotychczas nie był karany sądownie. W toku śledztwa trafił do aresztu. Grozi mu do 8 lat więzienia.

Prokuratura nie ujawnia co było tem sąsiedzkiego konfliktu. Proces odbędzie się przed Sądem Rejonowym w Kamieniu Pomorskim.

REKLAMA

Zachodniopomorskie
Centrum Onkologii

W Zachodniopomorskim Centrum Onkologii od 25 maja 2026r.

zmieniają się numery telefonów.

Nowy numer rejestracji medycznej:

91 56 47 100

Pozostałe, aktualne numery dostępne są na stronie: onkologia.szczecin.pl



0011520084

INWESTYCJE MIESZKAŃCY ALARMUJĄ WS. MOP SŁAWOSZEWO PRZY ZACHODNIEJ OBWODNICY SZCZECINA

Wykonawca ZOS-i ma ostrzeżenie

Marek Jaszczynski
Region

Stowarzyszenie WKS Sławoszewo wystosowało obszerny list otwarty do wykonawcy odcinka Zachodniej Obwodnicy Szczecina pomiędzy Dołujami a Policami. Mieszkańcy domagają się wykreślenia z projektu Miejsca Obsługi Podróżnych (MOP) Sławoszewo, argumentując, że inwestycja może nieść poważne zagrożenia środowiskowe, prawne i finansowe.



Wykreślenie MOP Sławoszewo na etapie prac projektowych jest najprostszym i najtańszym rozwiązaniem - uważają autorzy listu

Chodzi o planowany MOP (miejsce obsługi podróżnych) kategorii I w rejonie Sławoszewo, który ma zająć około 15 hektarów terenu i przewiduje m.in. miejsca postojowe dla pojazdów przewożących materiały niebezpieczne (ADR).

W przesłanym piśmie autorzy wskazują, że teren przeznaczony pod inwestycję znajduje się na obszarach podmokłych i torfowych. Według stowarzyszenia budowa parkingu dla pojazdów ADR miałaby stwa-

rać ryzyko dla lokalnych zasobów wodnych oraz terenów przyrodniczo cennych położonych w sąsiedztwie obszaru Jezioro Świdwie.

Spółecznicy powołują się również na zleconą przez siebie inwentaryzację przyrodniczą, z której ma wynikać występowanie na tym obszarze kilkudziesięciu gatunków ptaków, w tym gatunków chronionych. Autorzy listu twierdzą również, że dokumentacja

geologiczna jest niepełna, a planowana inwestycja wymagałaby ogromnych robót ziemnych związanych z wymianą gruntów torfowych.

W piśmie przypomniano także, że trwa postępowanie dotyczące unieważnienia decyzji ZRID w części odnoszącej się do MOP Sławoszewo. Zdaniem stowarzyszenia wykonawca został oficjalnie poinformowany o istniejących sporach prawnych i nie może

powoływać się na brak wiedzy o zgłaszanych zastrzeżeniach.

Jednym z najczęściej podnoszonych argumentów jest planowana lokalizacja stanowisk dla pojazdów ADR. Mieszkańcy przekonują, że parking znajdzie się zbyt blisko zabudowy mieszkaniowej i może generować zagrożenia w przypadku awarii, pożaru lub wycieku substancji niebezpiecznych.

W liście wskazano również na możliwe konsekwencje dla wartości okolicznych nieruchomości oraz ryzyko wieloletnich sporów sądowych.

Stowarzyszenie podkreśla, że nie sprzeciwia się budowie Zachodniej Obwodnicy Szczecina. Według autorów pisma rozwiązaniem byłoby jednak wykreślenie MOP Sławoszewo z projektu i pozostawienie obsługi podróżnych na innych miejscach postoju oraz węzłach drogowych.

- Wykreślenie MOP Sławoszewo na etapie prac projektowych jest najprostszym i najtańszym rozwiązaniem - argumentują autorzy listu.

Czy rozważana jest zmiana lokalizacji MOP-u lub wprowadzenie korekt w projekcie, które ograniczyłyby jego uciążliwość dla mieszkańców Sławoszewa? Jeszcze w listopadzie ubiegłego roku nasza redakcja uzyskała komentarz od inwestora, czyli Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad.

- Jesteśmy otwarci na rozmowę z mieszkańcami o możliwościach wprowadzenia

pewnych zmian w zagospodarowaniu MOP-u, jednak zmiana jego lokalizacji nie jest już możliwa - odpowiada Szymon Piechowiak, rzecznik prasowy GDDKiA.

- Obecny kształt tej inwestycji jest efektem trwających od ponad 10 lat prac przygotowawczych. W tym czasie uzyskaliśmy prawomocne decyzje administracyjne decyzję środowiskową i (w lutym tego roku) decyzję o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej - ZRID (która jest ostateczna i od której nie było żadnych odwołań). Obecnie inwestycja jest na etapie przetargu i wybraliśmy już ofertę najkorzystniejszą. Hipotetyczna zmiana lokalizacji MOP skutkowałaby wieloletnim opóźnieniem w realizacji inwestycji, trudnymi do oszacowania dodatkowymi kosztami, a także roszczeniami ze strony wykonawcy. Co więcej, w przypadku przedłużania się procedur istniałoby też ryzyko zerwania kontraktu. Powodowałyby to bezpośrednie zagrożenie dla realizacji tej strategicznie ważnej inwestycji.

Miały być prace ratunkowe, zabytek nadal się sypie. Czas na ratunek

Marek Jaszczynski
Region

Od lat słyszymy zapowiedzi remontu, ale kolejowy zabytek w Trzebieży wciąż popada w ruinę. Chodzi o zabytkową wieżę ciśnień na stacji Trzebież Szczeciński, która pozostała po rozbiórce dawnej lokomotywni.

Lokomotywnia została wyburzona kilka lat temu ze względu na zły stan techniczny. Zachowana została jednak wieża ciśnienia wpisana do rejestru zabytków województwa zachodniopomorskiego. Problem w tym, że od co najmniej siedmiu lat pojawiają się jedynie deklaracje dotyczące jej ratowania.

Stan obiektu stale się pogarsza. Beton kruszy się, a z konstrukcji mogą odpadać kolejne fragmenty. Mieszkańcy zwracają uwagę, że przebywanie w pobliżu wieży może być niebezpieczne.

PKP przyznaje, że obecnie nie planuje generalnego remontu zabytku.

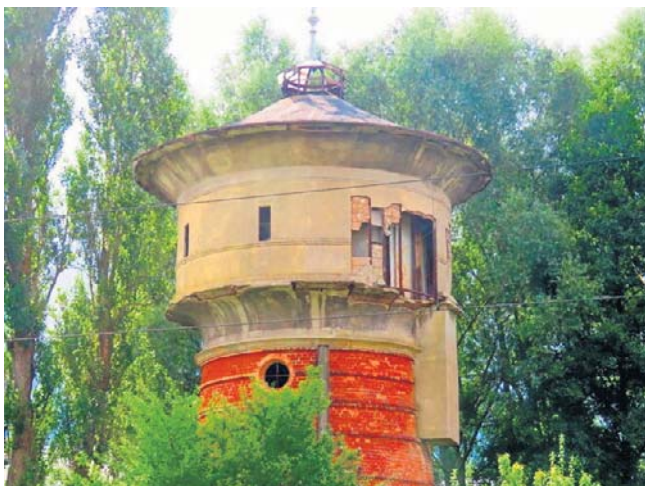
- Szacunkowy koszt prac remontowych i zabezpieczających wieżę w Trzebieży to ponad 700 tys. zł. Wieża ciśnienia

na stacji Trzebież Szczeciński jest wpisana do rejestru zabytków województwa zachodniopomorskiego. Wszelkie prace naprawcze wymagają pozwolenia na budowę i na prowadzenie robót przy zabytku. Obecnie, z uwagi na ograniczone środki finansowe, PKP S.A. nie planuje remontu, natomiast planowane jest zabezpieczenie budowli - informuje Agnieszka Jurewicz z Biura Komunikacji Polskich Kolei Państwowych.

Jak dodaje PKP, spółka kontaktowała się z samorządem

w sprawie ewentualnego przejęcia działki z wieżą, jednak gmina Police nie była zainteresowana takim rozwiązaniem.

Mieszkańcy przypominają, że już w 2012 roku protestowali przeciw rozbiórce kolejowych zabudowań stacji Trzebież. Wówczas buldożery zburzyły część historycznych obiektów znajdujących się w gminnej i wojewódzkiej ewidencji zabytków. PKP tłumaczyło wtedy, że działała na podstawie decyzji wojewódzkiego inspektora nadzoru budowlanego. ©©



Wieża ciśnienia niszczy od lat, chociaż był pomysł, żeby w jej wnętrzu powstała kawiarnia

Monitoring ma pomóc ustalić, jak doszło do wypadku na Ku Słońcu

Mariusz Parkitny
Szczecin

Kto i kiedy odpowie za potrącenie kwiaciarki na ulicy Ku Słońcu? Prokuratura wciąż nie podjęła decyzji.

Do zdarzenia doszło 21 kwietnia po południu na posesji zakładu pogrzebowego naprzeciwko głównej bramy Cmentarza Centralnego w Szczecinie.

Z dotychczasowych ustaleń wynika, że w okolicach przejścia dla pieszych zderzyły się dwa samochody osobowe - BMW i Lexus - prowadzone przez dwie kobiety.

Lexus wpadł na pobocze i wjechał w duże stoisko z kwiatami raniąc kwiaciarkę, a potem uderzając w dom pogrzebowy

- Dwa zespoły ratownictwa medycznego zostały zadysponowane do zdarzenia komunikacyjnego. Na miejscu wezwania znajdowała się poszkodowana 51-letnia kobieta. Przytomna, w stanie ogólnym średnim, z licznymi urazami głowy, barku i kończyny górnej oraz klatki piersiowej, brzucha, kręgosłupa i kończyn dolnych. Po dodaniu niezbędnych medycznych czynności ratunko-



W wypadku zostały ranne dwie osoby, w tym jedna ciężko. Kobiety kierujące autami nie odniosły obrażeń

wych pacjentka została przewieziona do szpitala - mówiła Natalia Dorochoń z Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Szczecinie. - W miejscu wezwania znajdowała się także poszkodowana kobieta, lat 69 bez widocznych urazów i dolegliwości. Pozostała w miejscu wezwania.

Kobietom, które kierowały samochodami nic się nie stało. Były trzeźwe. Na miejsce wypadku przyjechał prokurator. - Wszczęto śledztwo pod kątem wypadku drogowego. Ostateczna kwalifikacja

będzie znana, gdy zostanie ustalony dokładny stan pokrzywdzonej. Szczegóły całego zdarzenia są wyjaśniane - mówi prokurator Julia Szozda z Prokuratury Okręgowej w Szczecinie.

Choć od zdarzenia minął miesiąc, śledztwo wciąż prowadzone jest w sprawie. Nikt nie usłyszał zarzutów.

- Czekamy na analizę drugiego monitoringu, aby ustalić okoliczności zdarzenia. Potem prokurator zdecyduje o dalszych krokach - wyjaśnia prokurator Julia Szozda.

Naturalna ochrona przed kleszczami

Redakcja Strony Zdrowia
redakcja@stronazdrowia.pl

Kleszcze wróciły, a wraz z nimi - porady, jak się przed nimi chronić. Niektóre metody faktycznie mogą działać, inne to tylko mity.

Biolog Torgny Backman wyjaśnia, dlaczego warto zaprzyjaźnić się z czosnkiem, po jakie olejki eteryczne sięgnąć i co zamiast krótko przyciętego trawnika może naprawdę odstrząść kleszcze.

Kleszcze spotkasz nie tylko w lesie. Mogą czyhać wszędzie

Kleszcze to pajęczaki z podgromady roztoczy, które żywią się krwią ludzką i zwierzęcą. Najczęściej żerują od marca do listopada, gdy temperatura powietrza wynosi powyżej 7 stopni C. Niestety, sprzyja im ocieplenie klimatu, które sprawia, że obecnie zimy nie są już tak mroźne, przez co pajęczaki mogą być aktywne nawet przez cały rok. Kleszcze lubią miejsca cieniste, ciepłe i wilgotne, takie jak wysokie trawy i krzewy, dlatego najczęściej można na nie trafić w lasach, na łąkach czy w zaroślach. Jed-



FOT. MARINO LINIC/UNSPASH

Biolog wyjaśnia, dlaczego warto zaprzyjaźnić się z czosnkiem, po jakie olejki eteryczne sięgnąć i co zamiast krótko przyciętego trawnika może naprawdę odstrząść kleszcze

nak niech nas to nie zmyli, bo kleszcze można spotkać nie tylko w parku, na miejskim trawniku czy w przydomowym ogródku. Zwykle bytują na roślinach na wysokości do około 1,5 metra.

Wraz z ociepleniem klimatu sezon na kleszcze staje się coraz dłuższy, a zagrożenie coraz poważniejsze. Te niepozorne pajęczaki przenoszą groźne choroby, takie jak borelioza czy kleszczowe zapalenie mózgu. Choć ryzyko zakażenia pozostaje niewielkie, warto zrobić wszystko, by uniknąć ukąszenia - zwłaszcza jeśli mamy obniżoną odporność.

Internet jest pełen porad, jak odstrząść kleszcze, ale które z nich naprawdę mają sens? Biolog Torgny Backman w rozmowie z fińskim serwisem yle.fi obala mity i dzieli się wskazówkami opartymi na badaniach. Co działa, a czego lepiej unikać?

Kleszcze jak wampiry? Czosnek jako naturalna tarcza

Miłośnicy czosnku mogą mieć powód do zadowolenia. - Jeśli lubisz przyprawiać jedzenie czosnkiem, możesz uzyskać dodatkową ochronę przed kleszczami - mówi Backman.

Jak wynika z badań, osoby spożywające codziennie 1-2 ząbki czosnku miały o 30 proc. mniej kleszczy niż grupa kontrolna, która czosnku nie jadła.

Aromatyczna przyprawa może więc działać jak naturalny środek odstraszający krwiopijcze pajęczaki - z tym że działa nie zewnętrznie, a od środka.

Jak człowiek może zabezpieczyć się przed kleszczami?

Na liście Backmana znalazły się także olejki eteryczne - np. z eukaliptusa czy cytronelli. Działają przez kilkadziesiąt minut do godziny, dlatego warto je stosować regularnie, np. co godzinę.

Ale uważaj - niektóre olejki mogą podrażniać skórę, więc przed użyciem warto je rozcieńczyć lub przetestować na małym fragmencie ciała.

Nie bez znaczenia jest też... genetyka.

- Wszyscy jesteśmy osobami o różnej genetyce. Dieta, sprawność fizyczna, rozmiar ciała i mikrobiom skóry różnią się i mogą sprawić, że kleszcze będą bardziej przyciągać niektóre osoby - wyjaśnia biolog.

WAŻNE

Tymi chorobami zarażają kleszcze

- Borelioza - we wczesnym stadium rozwoju manifestuje się ona przede wszystkim objawami skórными, które mogą przyjmować różną postać, jednakże najczęściej jest to tzw. rumień wędrujący.
- Kleszczowe zapalenie mózgu - złe samopoczucie, osłabienie organizmu, uciążliwe bóle głowy, bóle brzucha i mięśniowo-stawowe, nudności i wymioty, a także zwiększoną temperaturę ciała
- Babesjoza - wysoka gorączka, dreszcze, ból głowy, mięśni i stawów (rzadko występuje u ludzi)
- Anaplazmoza granulocytarna - groźna choroba gorączkowa

● Gorączka Q - ma charakter bezobjawowy. Niekiedy jednak może pojawić się silny i uciążliwy ból głowy, zakażenie górnych dróg oddechowych i wysoka temperatura ciała

● Bartonelloza - zakażenie objawia się w głównej mierze powiększeniem węzłów chłonnych

● Riketsjoza - powoduje zapalenia naczyń krwionośnych, zwłaszcza tych mniejszych, przyczynia się do powstawania zakrzepów w różnych kluczowych narządach.

● Tularemia - objawy przypominają grype. U osób zakażonych można zaobserwować m.in. wysoka temperatura ciała, bóle mięśniowo-stawowe, kaszel, ból za mostkiem, utrata apetytu i ogólne osłabienie organizmu.

Co zrobić, żeby nie mieć kleszczy?

Kleszcze lubią wilgoć i cień. Zamiast obsesyjnie przycinać trawnik, lepiej postawić na mądre zagospodarowanie ogrodu - np. przez posadzenie krzewów wokół posesji lub stworzenie metrowego pasa z piasku. Jest on idealnym miejscem dla pszczoł żyjących na ziemi, ale kleszcze nie chcą chodzić po suchych obszarach. Pamiętaj też o odpowiednim ubiorze.

Zakrywaj ciało, włóż spodnie w skarpety, noś wysokie buty i jasne ubrania - łatwiej wtedy zauważyć wędrującego kleszcza. A po powrocie z ogrodu, lasu czy łąki dokładnie obejrzyj ciało - najlepiej w ciągu 24 godzin od spaceru. Jeśli usuniesz kleszcze w ciągu 24 godzin, ryzyko zachorowania na boreliozę jest minimalne, ale tylko szczepionka pomoże w walce z kleszczowym zapaleniem mózgu.

MATERIAL INFORMACYJNY GMINY BANIE

0011523421

Polsko-Niemieckie Forum Usług Przyszłości. Człowiek w centrum – innowacje i współpraca bez granic” zorganizowane w Partnerstwie Gmina Banie – Fundacja Razem dla rozwoju obszarów wiejskich i EJF z Berlina

„Polnisch-Deutsches Forum für Dienstleistungen der Zukunft. Der Mensch im Mittelpunkt – Innovationen und Zusammenarbeit ohne Grenzen“

Za nami bardzo interesująca konferencja „Polsko-Niemieckie Forum Usług Przyszłości. Człowiek w centrum – innowacje i współpraca bez granic”, która odbyła się w Centrum Kompetencji w Baniach.

Wydarzenie zgromadziło przedstawicieli samorządów, organizacji pozarządowych, instytucji społecznych oraz partnerów z Polski i Niemiec. Była to doskonała okazja do wymiany doświadczeń, poglądów oraz rozmów o przyszłości usług społecznych i współpracy transgranicznej.

Podczas paneli dyskusyjnych poruszano m.in. temat innowacji społecznych, cyfryzacji usług, roli organizacji pozarządowych oraz wspólnych standardów dostępności i równości.

Nie zabrakło również rozmów o nowych wyzwaniach i możliwościach współpracy w regionie polsko-niemieckim.

Uczestnicy podkreślali, że takie spotkania mają ogromne znaczenie dla budowania partnerstw, wzajemnego zrozumienia i tworzenia nowoczesnych rozwiązań odpowiadających na potrzeby mieszkańców.

Konferencja odbyła się w ramach programu Interreg Mecklenburg-Vorpommern / Brandenburg / Polska.

„Transgraniczne Centrum Kompetencji Zawodowych w zakresie usług społecznych” to projekt o warto-

ści 1 534 925,58 EUR, współfinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego (EFRR) w ramach programu współpracy Interreg VI A Meklemburgia-Pomorze Przednie / Brandenburgia / Polska, w wysokości 1 227 940,46 EUR. Udział środków własnych trzech beneficjentów wynosi 306 985,12 EUR.

Ponadto Fundacja Razem dla Rozwoju Obszarów Wiejskich otrzymała dofinansowanie na pokrycie wkładu własnego do tego projektu w wysokości 229 058,00 zł ze środków Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, w ramach Rządowego Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich na lata 2018–2030 (PROO). Współfinansowane ze środków @narodowyinstytutwolnosc w ramach #PROO @Minister do spraw Społeczeństwa Obywatelskiego Współpraca transgraniczna to szansa na rozwój i wymianę doświadczeń.



Jak w powojennej Polsce krok po kroku wprowadzano socjalizm

Mariusz Grabowski

3 stycznia 1946 r. Krajowa Rada Narodowa, pod naciskiem Polskiej Partii Robotniczej, uchwaliła ustawę o nacjonalizacji, czyli o przejęciu na własność Państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej.

Był to krok do budowy ekonomicznych zrębów Polski Ludowej. Nacjonalizacja nie była dla nikogo zaskoczeniem, była konsekwencją zapowiedzi z manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 22 lipca 1944 r.

Państwo zabiera

Przejęcie przez państwo przedsiębiorstw odbywa się - stanowił art. 1 ustawy - „dla planowego odbudowania gospodarki narodowej, zapewnienia Państwu suwerenności gospodarczej i podniesienia ogólnego dobrobytu”.

Art 3. wymieniał firmy, które zostaną znacjonalizowane za odszkodowaniem (zatrudniające więcej niż 50 robotników na jedną zmianę). Były to m.in. przedsiębiorstwa górnicze, hutnicze, naftowe i gazowe; związane z energetyką; koksownie; wodociągowe; cukrownie i rafinerie cukru; gorzelnie i browary; młyny. Do tego przedsiębiorstwa włókiennicze, poligraficzne i tłuszczowe. Tzw. nacjonalizacja bez odszkodowań dotyczyła przedsiębiorstw poniemieckich, należących do obywateli Wolnego Miasta Gdańska oraz - jak to określono - „osób, które zbiegły do nieprzyjaciela”.

Nacjonalizacja dotyczyła majątku nieruchomości i ruchomego oraz wszelkich praw (w tym licencji, znaków towarowych itp.). W [pierwszej fazie, do 1 października 1948 r. upaństwowiono przeszło 35 tys. przedsiębiorstw

Co z wagonami?

Choć spod działania tego przepisu wyłączono niektóre rodzaje przedsiębiorstw (np. przedsiębiorstwa robót budowlanych oraz instalacyjnych bez względu na ilość pracowników), w praktyce nacjonalizowano wszystko. Dekret Rady Ministrów z mocą ustawy z dnia 20 grudnia 1946 r. o zmianie ustawy o przejęciu na własność Państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, dawał podstawę do nacjonalizacji banków, sklepów, aptek i oraz kolektywizacji rolnictwa.

Ciekawostką jest, że spod ustawy wyłączono przedsiębiorstwo komunikacyjne stanowiące własność „Międzynarodowego Towarzystwa Wagonów Sypialnych i Wielkich Ekspresów Europejskich” belgijsko-francuskiej firmy kolejowej Compagnie Internationale des Wagons-Lits. Specjalnie po to Rada Ministrów wydał uchwałę w dniu 27 marca 1947 r.

Już później, w latach 1948-1971 Polska Ludowa zawarła tzw. umowy indemnizacyjne z 14 krajami. Na mocy tych układów PRL wypłacał odszkodowania za mienie pozostawione w Polsce i znacjonalizowane. Np. do 1980 r. rządy komunistyczne PRL-u przekazały 40 mln dolarów rządowi USA na zaspokojenie roszczeń obywateli i firm amerykańskich.

Towarzysze żądają!

W styczniu 1946 r. na blisko 300 posłów do KRN za ustawą nacjonalizacyjną była większość, w tym przedstawiciele opozycji z PSL i Stronnictwa pracy. Co więcej, w swoich programach też mieli nacjonalizację, choć w znacznie ograniczonej formie.

Mało który z posłów opozycji nie zgadzał się z tezami referatu ministra przemysłu z IX sesji KRN, która odbyła się w grudniu 1945 r.: „Można prowadzić organizm państwowy w określonym kierunku, gdy ma się w ręku ster tego organizmu. A ster - to podstawowe gałęzie gospodarki narodowej. Bez planu nie ma odbudowy”.

Co ciekawe, posłowie debatujący wtedy na założeniach przyszłej ustawy „o przejęciu na własność Państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej” (odczytano rezolucję z wiecu pracowników przemysłu Łodzi, w którym żądali oni „upaństwowienia przemysłu, (które) jest po reformie rolnej dalszym podstawowym osiągnięciem demokracji polskiej na drodze do odbudowy Polski Ludowej bez obszarników i kapitalistów”), na tej samej sesji proponowali jednocześnie dość fantastyczną ustawę „o zakładaniu nowych przedsiębiorstw i popieraniu prywatnej inicjatywy”.

Co na to PSL?

Można powiedzieć, że idea nacjonalizacji był obecna w programach wszystkich sił politycznych ówczesnej Polski, nie tylko tych o profilu komunistycznym czy socjalistycznym.



Nacjonalizacja dotyczyła majątku nieruchomości i ruchomego oraz wszelkich praw (w tym licencji, znaków towarowych itp.)

W programie Polskiego Stronnictwa Ludowego, największej partii opozycyjnej w KRN (jeszcze w grudniu 1946 r, na 444 posłów, PSL miało ich 55), uchwalonym w styczniu 1946 r. podczas kongresu, popierano przeprowadzenie reformy rolnej, wprowadzenie „gospodarki wielosektorowej” (z istnieniem szerokiego sektora własności społecznej i spółdzielczej, głównie w handlu i drobnym przemyśle), ale też dopuszczano istnienie sektora państwowego i prywatnego.

Reforma ekonomiczna miała w tej koncepcji obejmować nacjonalizację kluczowych gałęzi przemysłu, choć w stopniu mniejszym niż zakładała koncepcja komunistów.

Apologia z lat 60.

Janusz Wojciech Gołębiowski w wydanym w 1965 r. tomie „Nacjonalizacja przemysłu w Polsce” to właśnie z PSL czynił głównego wroga socjalistycznych reform. „Przyjęta przez PSL taktyka walki - pisał - polegała nie na bezpośrednim proponowaniu celowości samej reformy, lecz na przedstawieniu w tak negatywny sposób przyszłych konsekwencji nacjonalizacji, ażeby wzbudzić w społeczeństwie wątpliwość co do tego, czy państwo winno istotnie przejąć na własność wielki i średni przemysł.

»Głównym celem przebudowy społecznej - stwierdzał program mikołajczykowski stronnictwa - jest zdobycie dla

warstw ludowych wyższego poziomu dobrobytu przy swobodnym, wszechstronnym rozwoju kulturalnym. Monopolistyczna gospodarka państwowa może zmuszać robotników do godzenia się z niską stopą życiową i zagrażać im nowym przymusem i naciskiem ze strony państwowej administracji gospodarczej« (...).

Głównym celem przebudowy społecznej - stwierdzał program mikołajczykowski stronnictwa - jest zdobycie dla warstw ludowych wyższego poziomu dobrobytu przy swobodnym, wszechstronnym rozwoju kulturalnym. Monopolistyczna gospodarka państwowa może zmuszać robotników do godzenia się z niską stopą życiową i zagrażać im nowym przymusem i naciskiem ze strony państwowej administracji gospodarczej”.

Jak za Sanacji?

W ramach wojny propagandowej komuniści i socjaliści głosili, że PSL celowo utożsamiało nacjonalizację przemysłu w warunkach istnienia władzy ludowodemokratycznej z tworzoną w Polsce międzywojennej etatystycznymi przedsiębiorstwami państwowymi, które ze względu na ich nierentowność i biurokratyczne formy organizacji były w społeczeństwie wyjątkowo niepopularne.

„Jesteśmy za upaństwowieniem kluczowych przemysłów, mających podstawowe znaczenie dla gospodarstwa narodo-

wego, takich np., jak kopalnie węgla, huty żelazne, pewne fabryki chemiczne, przemysł zbrojeniowy, elektrownie i koleje. Ale upaństwowienie tych gałęzi to jeszcze nie etatyzm - odpowiadała »Gazeta Ludowa«. Nie po to pozbyliśmy się szlachetczyzny i jej burżuazyjnego cienia, aby tworzyć klasę urzędniczą” - dopowiadał w jednym z artykułów „Gazety Ludowej” Tadeusz Garczyński, adwokat, publicysta i działacz sportowy.

Komuniści zacierają ręce

Oficjalne stanowisko PPR odnośnie do ustawy o nacjonalizacji przemysłu sprecyzowane zostało na I Zjeździe PPR, który się odbył w dniach 6-13 grudnia 1945 r.: „Nasza partia uważa - stwierdzał przedłożony zjazdowi referat pt. »Aktualne zagadnienia i perspektywy gospodarcze demokratycznej Polski« - że przyszedł teraz czas, aby po zrealizowaniu zasad Manifestu lipcowego pójść naprzód i przejąć uroczystym aktem prawnym na własność narodu wielki i średni przemysł w Polsce (...). Nasi ministrowie w rządzie, nasi posłowie w Krajowej Radzie Narodowej, nasi towarzysze w całym kraju, cała nasza partia, wspólnie z Polską Partią Socjalistyczną, wysunie wkrótce dekret o unarodowieniu wielkiego i średniego przemysłu”.

Stanowisko PPS wobec ustawy określała z kolei uchwała Rady Naczelnej z dnia

4 listopada 1945 r. Stwierdziła ona m. in., że „uspłecznienie w drodze prawnej podstawowych gałęzi produkcji, wymiany, ubezpieczeń oraz bankowości powinno być dokonane bez dalszej zwłoki”.

Dokonało się

Jak ustawę KRN o nacjonalizacji przyjęli Polacy. Najogólniej mówić obojętnie. Ważniejsze były trudny codziennego życia w zrujnowanym kraju, nędza i wyjątkowo mroźna zima. Słusznie zauważał Gołębiowski, że „żadna z form bepośredniej i otwartej walki przeciwko nacjonalizacji przemysłu w ówczesnych warunkach politycznych nie dawała reakcji szans powodzenia”.

I dodaje: „politycy reakcyjni przewidywali, że oficjalne wypowiedzenie się przeciwko upaństwowieniu fabryk mogłoby zwiększyć jedynie obawy szerokiej mas przed utratą zdobytych już pozycji w przemyśle”.

Co więcej, wszelkie próby hipotetycznej reprivatyzacji fabryk natrafiały ponadto na obiektywne przeszkody, wynikłe z dokonanych podczas wojny i po wyzwoleniu kraju zmian w strukturze przemysłu. „Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że przemysł nasz jest już w większości upaństwowiony” - stwierdziła Delegatura Krajowa tzw. rządu emigracyjnego w połowie 1945 r.

Trzeba było...

Deputowany do KRN Aleksander Zawadzki, w 1946 r. członek Biura Politycznego KC PPR i późniejszy Przewodniczący Rady Państwa, obranie radykalnego socjalistycznego kursu przez Polskę uzasadniał tak: „Mielśmy Zagłębie i Śląsk, mogliśmy mieć dosyć węgla, stali i żelaza, a nie mieliśmy armat, nie mieliśmy czołgów, nie mieliśmy samolotów, gdy nadszedł tragiczny rok 1939. Bo ciężki przemysł Zagłębia, Śląska i innych ośrodków służył interesom prywatnego, rodzimego i zagranicznego kapitału, a w tym kapitale wielki udział mieli Niemcy”.

Choć z perspektywy czasu można stwierdzić, że zarówno nacjonalizacja, jak i reforma rolna zostały przeprowadzone z pogwałceniem prawa własności, a nowe władze wykorzystały te reformy społeczne jako na rządzie eliminacji „grup posiadających”, to na eliminację ich skutków trzeba było czekać blisko pół wieku.

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

ZĄBKI

Tragedia w żłobku

Prokuratura Rejonowa w Wołominie wszczęła śledztwo w sprawie śmierci 2-letniego dziecka w sąsiedztwie jednego ze żłobków w Ząbkach pod Warszawą.

W sprawie zatrzymano dwie opiekunki w wieku 53 i 48 lat - poinformowała w czwartek rzeczniczka Prokuratury Warszawa-Praga prok. Karolina Staros.

W środę po południu na terenie żłobka w oczku wodnym znaleziono zwłoki prawie dwuletniego dziecka. Rzeczniczka prokuratury do-

precyzowała, że oczko wodne znajdowało się posesji, na której jest żłobek.

Zwłoki ujawniły osoby przebywające w tym żłobku, niezwłocznie podjęły reanimację. Następnie ta reanimacja została przyjęta przez funkcjonariuszy policji, a następnie przez ratowników. Okazała się jednak bezskuteczna, stwierdzono zgon chłopca - zaznaczyła prok. Staros.

Przesłuchiwani są świadkowie, gromadzona jest też dokumentacja dotycząca funkcjonowania tej placówki.

WARSZAWA

Warszawa pożegnała aktorkę



FOT. PAP/MARCIN OBARA

Wczoraj w Warszawie odbył się pogrzeb aktorki Stanisławy Cełińskiej. Uroczystości pogrzebowe rozpoczęła msza w Kościele Środowisk Twórczych na Placu Teatralnym. Artystka została pochowana na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Aktorka zmarła 12 maja w wieku 79 lat.

SENAT

Bez referendum ws. klimatu

Senat nie wyraził w środę zgody na zarządzenie przez prezydenta Karola Nawrockiego referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej. Przeciwno podjęciu uchwały w tej sprawie było 62 senatorów, za opowiedziało się 32, od głosu wstrzymała się 1 osoba. Na początku maja prezydent skierował do Senatu wniosek o przeprowadzenie 27 września br. refe-

rendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej. Według wniosku pytanie miało brzmieć: „Czy jest Pani/Pan za realizacją polityki klimatycznej, która doprowadziła do wzrostu kosztów życia obywateli, cen energii i prowadzenia działalności gospodarczej i rolniczej?”. Zgodnie z prawem to senatorowie muszą wyrazić zgodę na za referendum.

STRASBURG

Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że w 2008 roku Polska naruszyła art. 6 Konwencji Praw Człowieka, dotyczący prawa do sądu. ETPCz rozpatrywał skargę asesorów sądowych, którym ówczesny prezydent RP Lech Kaczyński odmówił w 2008 r. powołań na stanowiska sędziowskie. Trybunał nakazał wypłacenie każdemu z powodów kwoty 13 tys. euro tytułem zadośćuczynienia.



Odmowa prezydenta powołania na urząd sędziego połączona z brakiem kontroli sądowej stanowi naruszenie prawa do sądu

Dariusz Mazur wiceszef ministerstwa sprawiedliwości

Amerykańscy żołnierze w Polsce. Polityczna ofensywa trwa

Dorota Kowalska
Warszawa

Najważniejszy wniosek z rozmowy z administracją w Białym Domu jest taki, że USA utrzymają wysoką obecność wojskową w Polsce – oświadczył w środę w Waszyngtonie wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk.

Rozmowy, podróże do Waszyngtonu, zapewnienia o bezpieczeństwie Polski - zamieszanie wokół rozmieszczenia amerykańskich wojsk w Europie, także Polsce, trwa.

Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz i szef Sztabu Generalnego WP gen. Wiesław Kukuła spotkali się w środę z zastępcą przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów wojsk USA gen. Christopherem Mahoneyem. We wtorek szef MON kontaktował się z szefem Pentagonu Petem Hegsethem

- Wczoraj i dzisiaj zostałem zapewniony po raz kolejny o tym, że Polska jest modelowym sojusznikiem. Jest niezwykle ważnym partnerem, jeżeli nie najważniejszym partnerem Stanów Zjednoczonych w Europie, że spełnia wszystkie oczekiwania budowy silnego sojuszu i inwestycji w bezpieczeństwo - powiedział wicepremier po spotkaniu.

Kosiniak-Kamysz podkreślił też, że od pierwszych doniesień medialnych o zmniejszeniu



FOT. ADAM JANKOWSKI

Tomczyk stwierdził, że komunikaty samej administracji amerykańskiej „ewoluują” w dobrym kierunku

liczby wojsk amerykańskich w Europie uspokajał, iż nie ma decyzji o zmniejszeniu zaangażowania Amerykanów w Polsce.

- To zostało wczoraj potwierdzone. (...) Prowadzimy racjonalną, spokojną politykę współpracy, nie poprzez emocje, nie poprzez jednodniowe jakieś wydarzenia, tylko strategiczną, i żaden szum informacyjny, który czasem powstaje, nie zakłóci tej relacji - zapewnił.

Do Waszyngtonu poleciał wiceminister obrony Cezary Tomczyk, który spotkał się z doradcą prezydenta USA ds. bezpieczeństwa i wiceszefem Rady Bezpieczeństwa Narodowego Andrew Bakerem. Po rozmowie oświadczył, że „najważniejszy wniosek” jest taki, iż USA utrzymają wysoką obecność wojskową w Polsce.

Tomczyk zwrócił uwagę, że „od komunikatów, które były bardzo niepokojące, przeszliśmy do komunikatu, który dotyczy opóźnień i przesunięć, które dotyczą terminu, a nie faktu”.

O utrzymaniu silnego zaangażowania USA zapewniał także jeden z wiceszefów Pentagonu Elbridge Colby podczas rozmowy z szefem BBN Bartoszem Grodeckim. Jak przekazała BBN, Colby podkreślił, że Polska może liczyć na utrzymanie silnego zaangażowania wojskowego USA. Sam Grodecki ocenił rozmowę jako „dobrą, otwartą i partnerską”. Dodał, że został zapewniony, iż USA traktują Polskę jako „wzorowego sojusznika” i że „jako kraj możemy liczyć na utrzymanie mocnego zaangażowania sił amerykańskich”.

Pojawiły się też nieoficjalne informacje o tym, że o rozmowę z Donaldem Trumpem w sprawie rozmieszczenia amerykańskich wojsk w Europie stara się prezydent Karol Nawrocki.

Szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz tłumaczył, że podczas ostatniej rozmowy Nawrockiego z Trumpem, która miała miejsce 3 maja, nie poruszono kwestii relokacji amerykańskich żołnierzy.

- Gdyby to padło, to byśmy od razu zaczęli w tej tematyce aktywnie działać. Nie padło, dlatego że to nie jest decyzja Białego Domu, tylko to jest decyzja na poziomie Pentagonu - tłumaczył Przydacz.

I chwalił Władysława Kosiniaka-Kamysza, który, jak to określił, „stara się robić bardzo dużo, aby te wojska utrzymać”.

Polityk pytany był również, czy istnieją obecnie jakiegokolwiek szanse, aby przekonać Trumpa i administrację amerykańską do budowy stałej bazy wojsk USA w Polsce.

- Jest bardzo duża szansa i ostatnie rozmowy raczej to potwierdzają. (...) Stała baza jest naszym interesem - powiedział.

Nawrocki i Trump pojawili się na szczycie NATO, który odbędzie się 7-8 lipca w stolicy Turcji, Ankarze.

- Wtedy na pewno panowie prezydenci ze sobą będą rozmawiać, czy to w węższym, czy w szerszym formacie - dodał. PAP

Zatrzymani Polacy opuszczą Izrael. Sikorski chce zakazu wjazdu do Polski dla izraelskiego ministra

Karolina Wrońska
Warszawa

Radosław Sikorski zdecydował się zwrócić z wnioskiem do MSWiA, aby izraelski minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben Gwir otrzymał zakaz wjazdu na terytorium Rzeczypospolitej.

Rzecznik MSZ przekazał tę informację na briefingu w Warszawie. Ma to związek z opublikowanym w środę przez izraelskiego mini-

stra bezpieczeństwa narodowego Itamara Ben Gwira nagraniem. Widać na nim, jak szydzi z zatrzymanych aktywistów Global Sumud Flotilla. Pokazano tam m.in. kilkudziesięciu kłęczących na ziemi aktywistów, podczas gdy Ben Gwir macha izraelską flagą i krzyczy po hebrajsku: „Witamy w Izraelu, to my tu rządymy”. Nagranie to spotkało się z krytyką wielu państw. Potępiło je polskie MSZ, a także resorty m.in. Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch.

Sikorski poinformował w czwartek na platformie X, że „Polska stanowczo potępia postępowanie przedstawicieli władz Izraela wobec zatrzymanych przez armię izraelską aktywistów Global Sumud Flotilla, wśród których znajdują się polscy obywatele”.

- Jeszcze w czwartek polscy obywatele, którzy brali udział w Globalnej Flotylli Sumud i zostali zatrzymani przez izraelskie służby, opuszczą Izrael - poinformował w czwartek

rzecznik MSZ Maciej Wewiór. Zaznaczył, że są to dwie osoby.

Mówiąc o stanie polskich obywateli zatrzymanych przez Izrael, Wewiór podkreślił na briefingu w Warszawie, że polscy konsulowie od początku byli w miejscach, do których mieli oni trafić - w tym w porcie Aszdod, dokąd zostali przewiezieni. Jednocześnie, podkreślił, polscy dyplomaci pracowali nad tym, by zatrzymani rodacy jak najszybciej odzyskali wolność. PAP

Kuba na celowniku USA. Castro oskarżony o morderstwo

Grzegorz Kuczyński
Waszyngton

Jak wynika z dokumentów sądowych opublikowanych w środę, były prezydent Kuby Raul Castro został w USA postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem morderstwa.

Akt oskarżenia przeciwko Raulowi Castro, złożony w sądzie federalnym w Miami, zawiera jeden zarzut spisku w celu zabicia obywateli USA, cztery zarzuty morderstwa oraz dwa zarzuty zniszczenia samolotu, jak wynika z dokumentów sądowych. W sprawie jako oskarżonych wymieniono również pięć innych osób. Ogłoszenie zarzutów odbyło się przed Freedom Tower w Miami, budynkiem uważanym za symbol kubańskiej emigracji i zbiegło się z obchodzoną 20 maja Dniem Niepodległości Kuby.

Ma to miejsce w momencie, gdy prezydent USA Donald Trump naciska na zmianę reżimu na Kubie, gdzie komuniści sprawują władzę od czasu, gdy Fidel Castro przeprowadził rewolucję w 1959 roku.

Przedstawiciel Departamentu Sprawiedliwości USA powiedział w zeszłym tygodniu agencji Reuters, że przewidywane zarzuty wobec Raula Castro opierają się na incydencie z 1996 roku, w którym kubańskie myśliwce zestrzeliły samoloty obsługiwane przez grupę kubańskich emigrantów.

W oświadczeniu wydanym w środę Trump nazwał Kubę „państwem zbuntowanym, udzielającym schronienia wrogim siłom zbrojnym” i przedstawił działania swojej administracji dotyczące tej karaibskiej wyspy jako część szerszych wysiłków na rzecz rozszerzenia wpływów USA na półkuli zachodniej.



Raul Castro to brat przywódcy rewolucji kubańskiej, a potem jego następcą

Prezydent powiedział, że Kuba się „rozpada”, a reżim traci kontrolę nad sytuacją. Odmówił odpowiedzi na pytanie, czy Raul Castro podzieli los Nicolasa Maduro i zostanie pojmany przez USA. - Mamy mnóstwo ludzi na Kubie. Mamy tam CIA. (Sekretarz Stanu - PAP) Rubio stamtąd pochodzi, więc mamy duże doświadczenie. Zamierzamy pomóc Kubańczykom. Wyzwalamy Kubę - powiedział dziennikarzom Trump w bazie Andrews po powrocie z Connecticut.

Pytany przez dziennikarza, czy Kubańczycy powinni spodziewać się „jakieś eskalacji”, Trump odparł: „Nie, nie będzie eskalacji. Nie sądzę, żeby była potrzebna. Ten kraj się rozpada. To jest bałagan, a oni w zasadzie stracili kontrolę nad Kubą”.

Jedenastu wysokich rangą urzędników państwowych Kuby zostało objętych sankcjami przez władze USA. Wśród nich, jak przekazało we wtorek Radio Marti, jest trzech członków rządu Kuby. Według Radia Marti sankcjami objęto też szefa kontrwywiadu wojskowego Jose Miguela Gomeza del Vallina oraz członka biura politycznego komitetu centralnego Komunistycznej Partii Kuby Roberto Moralesa Ojedę.

Polskie firmy mogą zarabiać na zielonej energii

Jarosław Jaz
Region

Jeszcze kilka lat temu dyskusja o energetyce wiatrowej w Polsce sprowadzała się głównie do pytania: czy budować? Dziś pytanie brzmi, kto na tej transformacji realnie zarobi i czy Polska stanie się jedynie rynkiem zbytu dla zagranicznych technologii, czy także beneficjentem zielonej rewolucji.

Udział polskich firm w transformacji energetycznej będzie jednym z najważniejszych wątków konferencji Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej 2026, która odbędzie się w dniach 8-10 czerwca w Radisson Blu Resort Świnoujście.

- Dzięki silnemu zapleczu przemysłowemu i rozbudowanemu kompetencjom inżynierskim, Polska ma dziś wszystko, aby stać się ważnym graczem w branży wiatrowej w całej Europie - ocenia Janusz Gajowiecki, prezes zarządu Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej. - Polscy producenci są dziś gotowi, aby wejść na rynek europejski, który według szacunków jest nawet 15 razy większy od rynku krajowego. Nasze firmy już odgrywają kluczową rolę w części łańcucha dostaw dla lądowej energetyki wiatrowej. W obszarze budownictwa i infrastruktury farm wiatrowych krajowe przedsiębiorstwa odpowiadają za 70-90 proc. wartości realizowanych projektów, a w segmencie serwisu i utrzymania instalacji udział polskich podmiotów sięga 75 proc.

Nie tylko energetyka

Najnowszy raport przygotowany przez Wind Industry Hub, Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej i CEE Energy Group odkrywa skalę poten-



Podczas ubiegłorocznego forum, Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej przekazało na ręce polityków apel „Energetyka wiatrowa dla silnej Polski”, wskazujący pilne działania dla bezpieczeństwa energetycznego i rozwoju kraju.

cjału: w scenariuszu dynamicznego rozwoju lądowej i morskiej energetyki wiatrowej, łączna wartość tego rynku w latach 2026-2040 przekroczy 700 miliardów złotych (500 mld PLN offshore wind i 214 mld PLN onshore wind), z czego nawet około 300 miliardów złotych może skomunować krajowy łańcuch dostaw.

- Na tym procesie najsilniej skorzystają sektory gospodarki stanowiące fundament tradycyjnego, ale i nowoczesnego przemysłu - mówi Dominika Taranko, dyrektor zarządzająca i wiceprezesa Wind Industry Hub. - Impuls rozwojowy odczuć może przemysł stoczniowy, stalowy, odlewniczy i obróbki ciężkiej, budownictwo, elektrotechnika oraz sektor maszynowy. Wyraźne korzyści odnotować może także branża logistyki ponadgabarytowej oraz sektor nowoczesnych technologii - w tym automatyka cyfrowa, cyberbezpieczeństwo i rozwiązania oparte na sztucznej inteligencji.

Cały łańcuch gospodarki

Autorzy strategii podkreślają, że energetyka wiatrowa może stać się jednym z największych programów modernizacji polskiego przemysłu po 1989 roku - pod warunkiem, że państwo

i biznes wykorzystają moment do budowy krajowego „local content”, czyli udziału polskich firm w całym łańcuchu dostaw. Największym wyzwaniem pozostaje produkcja najbardziej zaawansowanych komponentów - przede wszystkim turbin i kluczowych elementów technologicznych. Tutaj branża również widzi ogromną przestrzeń do rozwoju.

- By skokowo zwiększyć udział krajowych firm w najbardziej wartościowych segmentach, takich jak np. produkcja zaawansowanych komponentów turbin, musimy wdrożyć świadomą politykę przemysłową - dodaje Dominika Taranko. - Dobrym kierunkiem jest wdrażana przez Ministra Aktywów Państwowych zmiana filozofii zakupowej - odejście w przetargach od kryterium najniższej ceny na rzecz oceny całkowitej wartości gospodarczej (TOTEX), z uwzględnieniem kryteriów pozacenowych, takich jak ślad węglowy czy lokalne zatrudnienie. Konieczne jest też zapewnienie stabilnego popytu rynkowego na poziomie 1,5-2 GW nowych mocy lądowych rocznie oraz stabilnej perspektywy wzrostu mocy offshore, a także skrócenie procedur administracyjnych. Zadbaj też powinniśmy o odpowiednie kształcenie kadr dla

przemysłu, wsparcie eksportu komponentów i usług na rynek europejski, jak również silniejsze kompetencje firm w zakresie budowania konsorcjów realizacyjnych, pozyskiwania finansowania i rozwoju projektów B+R.

Polska może wykorzystać swój moment

Ekspert zwracają uwagę, że Europa coraz mocniej stawia dziś na bezpieczeństwo energetyczne i przemysłowe uniezależnienie od dostaw spoza UE. W tym kontekście Polska - z dużym sektorem przemysłowym, portami, zapleczem logistycznym i rozwijającym się sektorem offshore - może odegrać szczególną rolę w regionie Morza Bałtyckiego.

- Wymogiem jest stworzenie stabilnych i długoterminowych warunków rozwoju dla całego sektora - dodaje Janusz Gajowiecki. - Polscy producenci są dziś gotowi, aby wejść na rynek europejski, ale potrzebują wsparcia administracyjnego, aktywnej roli państwa i przewidywalności projektów inwestycyjnych, by właściwie planować swój rozwój. Realizacja Polskiej Strategii Rozwoju Przemysłu Lądowych Farm Wiatrowych ustrukturyzuje działania i pomoże pokonać aktualne bariery.

Nieprzypadkowo temat local content oraz udziału polskich firm w transformacji energetycznej będzie jednym z najważniejszych wątków tegorocznej Konferencji PSEW 2026, która odbędzie się w dniach 8-10 czerwca w Radisson Blu Resort Świnoujście. To właśnie tam spotkają się przedstawiciele administracji, przemysłu, energetyki i inwestorów, by odpowiedzieć na pytanie, czy Polska będzie jedynie odbiorcą transformacji energetycznej, czy także jednym z jej największych gospodarczych beneficjentów.

REKLAMA 0011527487

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Burmistrz Miasta Poręba informuje, że na stronach internetowych bip.umporęba.pl oraz www.umporęba.pl, a także na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Poręba, ul. Dworcowa 1, 42-480 Poręba, w terminie od dnia 22.05.2026 r. zostanie zamieszczone na okres min. 2 miesięcy ogłoszenie o przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż nieruchomości stanowiących własność Gminy Poręba, położonych w Porębie. Przetarg odbędzie się w siedzibie Miejskiego Ośrodka Kultury w Porębie, ul. Mickiewicza 2, 42-480 Poręba.

Oznaczenie nieruchomości, numer działki	Powierzchnia nieruchomości [ha]	Nr księgi wieczystej	Cena wywoławcza brutto w zł	Wysokość wadium w zł	Przeznaczenie nieruchomości w MPZP	Data i godzina przetargu
9950/14 Obręb Poręba	0,9900	CZ1Z/00032475/5	600 000,00	60 000,00	W MPZP nieruchomość oznaczona symbolem: 12U - teren usług	5.08.2026 r. godz. 10:00 MOK Poręba Sala konferencyjna

Wadium płatne do 29.07.2026 r. Dodatkowe informacje uzyskać można w Urzędzie Miasta Poręba, ul. Dworcowa 1, w Referacie Nieruchomości i Gospodarki Komunalnej, pokój nr 5 - pod numerem telefonu 32 67 71 203.

Radio uśmierciło brytyjskiego króla Karola. Rozgłośnia przeprosiła

Adam Kielar
Londyn

Brytyjskie Radio Caroline musiało przeprosić swoich słuchaczy za uruchomienie protokołu „śmierć monarchy”. W ostatni wtorek rozgłośnia poinformowała, że król Karol III nie żyje.

Radio Caroline, które nadaje w rejonie południowej Anglii oraz Midlands w Wielkiej Brytanii podało we wtorek, 19 maja, że... król Karol III nie żyje.



„Przepraszamy Jego Wysokość Króla oraz naszych słuchaczy - napisała stacja w oświadczeniu

Wówczas stacja rozpoczęła procedurę „Śmierć Monarchy”. Przerwano program, prowadzący powiedział, że to dlatego, że monarcha zmarł, następnie odtworzono brytyjski hymn („God save the King” - „Boże chroń króla”).

Przez 15 minut radio milczało, po czym nastąpił powrót na antenę i spikerzy przeprosili za błąd.

W końcu rozgłośnia wydała komunikat w tej sprawie. „Z powodu błędu komputerowego w naszym głównym studiu, po południu we wto-

rek 19 maja została przypadkowo aktywowana procedura Śmierć Monarchy, którą wszystkie stacje w Zjednoczonym Królestwie mają przygotowaną, mając nadzieję, że nie będą musiały jej użyć. Przeprosiliśmy, że odeszł Jego Wysokość Król” - czytamy w oświadczeniu.

Jak zaznaczono, Radio Caroline zamknięto zgodnie z procedurą, co zaalarmowało władze stacji i skutkowało przywróceniem nadawania i wyłączeniem przesyłu.

tygodnik Regionów

Piątek, 22.05.2026

HISTORIA

Zbudowany w Szczecinie, miał być dumą niemieckiej floty. Wojna zmieniła wszystko. Niezwykła historia „Empress of Australia” **str. 10-11**

REGION

Są w spektrum autyzmu. Wyróżniają się ponadprzeciętnymi zdolnościami i kreatywnością, które w tym ośrodku mogą doskonalić **str. 14**



FOT. GMINA REDZIKOWO

Tarcza antyrakietowa w Redzikowie. Dziesięć lat temu wbito pierwszą łopate

Niepostrzeżenie minęło 10 lat od rozpoczęcia budowy amerykańskiej bazy tarczy antyrakietowej w Redzikowie. 13 maja 2016 roku wbito pierwszą symboliczną łopate **str. 12-13**

Gdyby nie wojna. Niezwykła historia „Empress of Australia”

Marek Jaszczynski
Szczecin

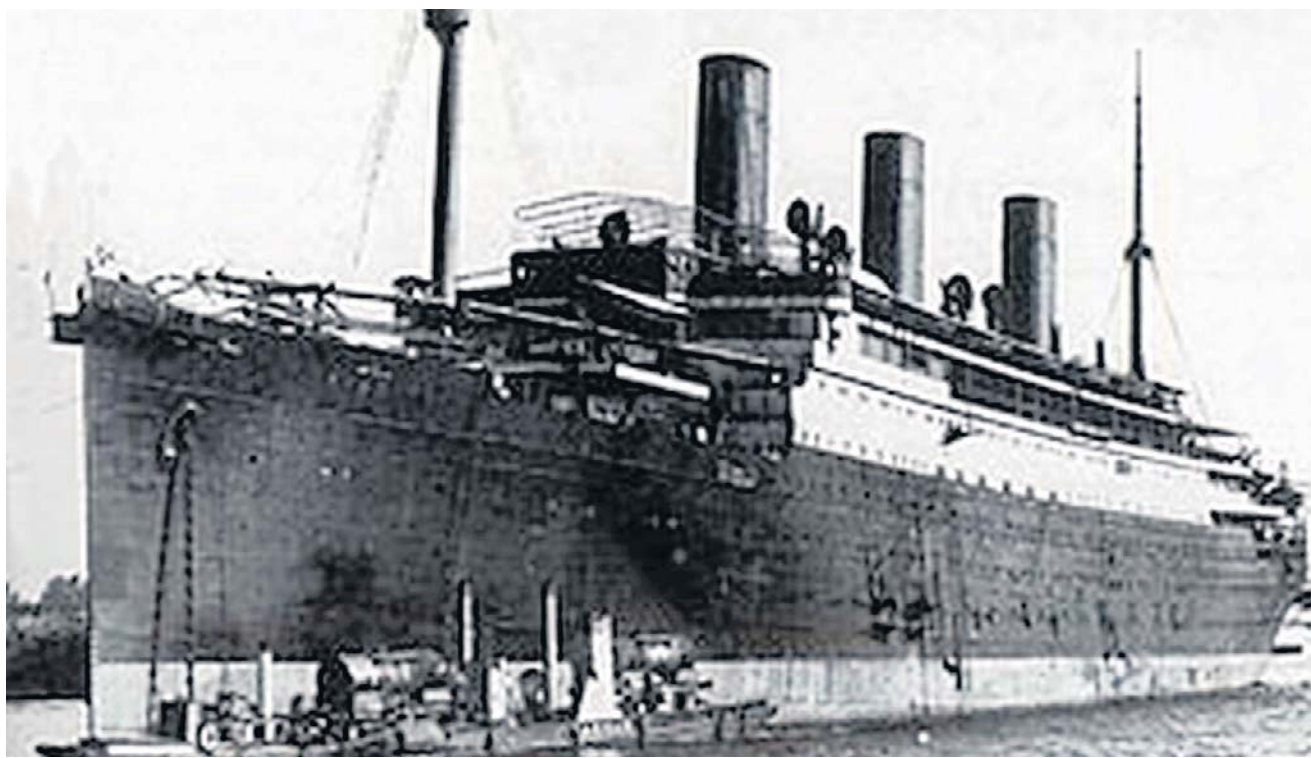
Miał stać się jednym z najnowocześniejszych liniowców swoich czasów. Zanim jednak zabrał pierwszych pasażerów, wybuchła I wojna światowa. Przez lata pozostawał niedokończony, by później pod obcą banderą opłynąć niemal cały świat. Ratował ofiary katastrofy w Japonii, przewoził członków rodzin królewskich, służył na najważniejszych szlakach oceanicznych. Historia „Empress of Australia” zaczęła się jednak nad Odrą, w Szczecinie.

Na początku XX wieku trwał wyścig o dominację na oceanach. Brytyjskie i niemieckie linie żeglugowe prześcigały się w budowie coraz większych, szybszych i bardziej luksusowych statków pasażerskich. Dla Niemiec była to nie tylko kwestia prestiżu, ale również znaczenia gospodarczego i politycznego. Jednym z symboli tej rywalizacji miała zostać nowa seria wielkich liniowców zamówionych przez armatora Hamburg-Amerika Linie (HAPAG), największe przedsiębiorstwo żeglugowe świata. Budowę jednej z jednostek powierzono renomowanej stoczni Vulcan

W 1912 roku rozpoczęto prace nad statkiem oznaczonym numerem budowy 333. Projekt przewidywał powstanie luksusowego transatlantyku. Jak na tamte czasy była to jednostka imponująca. Wodowanie odbyło się 27 grudnia 1913 roku. Statek otrzymał nazwę „Admiral von Tirpitz”, na cześć wielkiego admirała Alfreda von Tirpitz, architekta rozbudowy niemieckiej floty wojennej. Już sam wybór nazwy pokazuje, jak duże znaczenie propagandowe przypisywano tej jednostce.

Wojna zatrzymała karierę liniowca

Gdy statek schodził na wodę, nikt nie przypuszczał, że za kilka miesięcy Europa pograży się w wojnie. Latem 1914 roku wybuchł konflikt, który całkowicie zmienił losy budowanej jednostki. Prace wykończeniowe zostały znacząco spowolnione, a część wyposażenia przeznaczono na potrzeby wojenne. W stoczni brakowało



„Admiral von Tirpitz w trakcie prac wyposażeniowych jednostki w szczecińskiej stoczni Vulcan

materiałów, a wielu pracowników trafiło do armii.

W czasie wojny nazwę skrócono do prostszego „Tirpitz”. Był to okres, gdy Niemcy ograniczały używanie arystokratycznych i honorowych określeń w nazewnictwie jednostek.

Choć kadłub był gotowy, liniowiec nigdy nie rozpoczął regularnej służby dla HAPAG. Przez kolejne lata pozostawał właściwie bezużyteczny. Niemiecka gospodarka coraz bardziej odczuwała skutki wojny, a luksusowe statki pasażerskie przestały być priorytetem. Kiedy w listopadzie 1918 roku Niemcy podpisały zawieszenie broni, „Tirpitz” nadal nie odbył ani jednego rejsu pasażerskiego.

Zdobycz zwycięzców

Dla wielu niemieckich armatorów zakończenie wojny oznaczało utratę większości floty. Traktat wersalski przewidywał przekazanie znacznej liczby statków państwu Ententy jako reparacji wojennych. Los ten spotkał również „Tirpitz”. W 1919 roku jednostkę przejęła Wielka Brytania. Dla Niemców była to bolesna strata. Statek, który miał być wizytówką niemieckiego przemysłu stoczniowego i symbolem morskiej potęgi cesarstwa, trafił w ręce dawnych przeciwników. Brytyjczycy dokończyli

wyposażenie jednostki i początkowo wykorzystywali ją do transportu wojsk oraz repatriacji żołnierzy wracających z frontów. Dopiero później zdecydowano o jej sprzedaży. W 1921 roku statek kupiła kanadyjska spółka Canadian Pacific Steamships.

Nowy właściciel nadał jednostce nazwę „Empress of China”. Był to element tradycji armatora, którego największe liniowce nosiły nazwy rozpoczynające się od słowa „Empress”. Nie trwało to jednak długo. Po protestach dyplomatycznych związanych z sytuacją polityczną w Azji nazwę zmieniono już po roku na „Empress of Australia”. Pod nową banderą statek rozpoczął regularne rejsy między Kanadą, Azją i Europą. Szybko zyskał opinię jednostki komfortowej i niezawodnej.

Na jego pokładzie mogło podróżować ponad tysiąc pasażerów w kilku klasach. O ich wygodę dbało ponad pół tysiąca członków załogi. Do dyspozycji podróżnych były luksusowe restauracje, salony wypoczynkowe, biblioteki, palarnie i przestronne kabiny.

Bohater katastrofy w Japonii

Najbardziej niezwykły rozdział historii statku rozegrał się we wrześniu 1923 roku. 1 września 1923 roku o godzinie 11.55

„Empress of Australia” miała właśnie opuścić nabrzeże w Jokohamie. Na kei zgromadziły się setki osób żegnających pasażerów. W powietrzu fruwały serpentyny i konfetti, holowniki szykowały się do wprowadzenia ogromnego liniowca z portu.

Nagle ziemia zatrzęsa się z potężną siłą. Pod stopami ludzi zgromadzonych na nabrzeżu zaczęły pękać betonowe konstrukcje. Fragmenty dokończone zapadały się do wody, a pozostała część nabrzeża falowała niczym wzburzone morze. W oddali rozległ się przerażający huk walących się budynków.

Rozpoczęło się wielkie trzęsienie ziemi Kantō - katastrofa, która zniszczyła Tokio, Jokohamę i znaczną część środkowej Japonii. Żywił pochłonął ponad 100 tysięcy istnień ludzkich i do dziś pozostaje jedną z największych tragedii naturalnych w historii kraju.

Dla „Empress of Australia” był to dopiero początek dramatu.

Liniowiec wciąż stał przy zniszczonym nabrzeżu. Za jego rufą znajdował się inny statek, uniemożliwiający manewrowanie. W porcie panował chaos. Zerwane z cum jednostki dryfowały bez kontroli. Jedną z nich - „Lyons Maru” - uderzyła w rufę kanadyjskiego liniowca. Chwilę później zde-

rzyła się jeszcze z barką załadowaną drewnem, która przypadkowo zamortyzowała kolejne uderzenia i zapobiegła większym uszkodzeniom.

Największym zagrożeniem okazał się jednak ogień.

Pożary wybuchły w wielu miejscach portu i szybko rozprzestrzeniły się podsycane silnym wiatrem. Iskry i płonące szczątki spadały na pokłady statku. Kapitan Samuel Robinson natychmiast skierował załogę i pasażerów do gaszenia zarzewi ognia. Wężę przeciwpożarowe pracowały bez przerwy, a z pokładu spuszczone liny i drabiny, po których na statek wspinali się ludzie uwięzieni na płonącym nabrzeżu.

Robinson podjął desperacką próbę uwolnienia jednostki. Wykorzystując moc silników, przesunął znajdujący się za rufą frachtowiec „Steel Navigator”, zyskując minimalną przestrzeń do manewru. „Empress of Australia” powoli odsunęła się od płonącego brzegu.

Podczas manewru doszło jednak do kolejnego problemu. Lewa śruba okrętowa zaplątała się w kotwiczną linę jednego z frachtowców. Statek został unieruchomiony zaledwie kilkoma metrami od szalejących pożarów.

Los ponownie okazał się łaskawy. Wiatr zmienił kierunek i zaczął odpychać płomień od liniowca. Około godziny 15

pożary w bezpośrednim sąsiedztwie portu osłabły, a „Empress of Australia” mogła chwilowo odetchnąć. W oddali załoga widziała jednak gigantyczną łunę nad płonącej Jokohamą.

Jeszcze tej samej nocy w dowodowano szalupy ratunkowe. Marynarze, pasażerowie i ochotnicy ruszyli na pomoc mieszkańcom miasta. Z ruin wywożono rannych i osoby, które straciły dach nad głową.

Następnego dnia pojawiło się nowe zagrożenie - przez port dryfowała ogromna plama płonącej ropy. Uszkodzony liniowiec nie mógł samodzielnie manewrować, dlatego pomocy udzielił tankowiec „Iris”. Dzięki jego wsparciu udało się odholować dziób statku i skierować jednostkę na bezpieczniejsze wody.

Kiedy przeprowadzono liczenie osób znajdujących się na pokładzie, okazało się, że schronienie znalazł tam już ponad dwa tysiące uchodźców.

Przez kolejne dni „Empress of Australia” pełniła rolę pływającego centrum ratunkowego. Każdego ranka wracała do zniszczonego portu, wysyłając łodzie z pomocą dla ocalałych. Rozbitków przewożono na pokład, a następnie transportowano do Kobe, gdzie japońskie władze organizowały akcję humanitarną.

Naprawę uszkodzonej śruby przeprowadzili nurkowie z pancernika „Yamashiro” oraz brytyjskiego okrętu HMS „Despatch”. Choć statek mógł odpłynąć wcześniej, kapitan Robinson pozostał w Jokohamie na prośbę brytyjskiego konsula i kontynuował akcję ratunkową.

Dopiero 12 września 1923 roku „Empress of Australia” opuściła zrujnowany port.

Bohaterska postawa załogi odbiła się szerokim echem na świecie. Kapitan Samuel Robinson został odznaczony m.in. Orderem Imperium Brytyjskiego (CBE) i prestiżowym srebrnym medalem Lloyd's. Wdzięczni pasażerowie i uratowani uchodźcy ufundowali pamiątkową brązową tablicę, którą umieszczono na statku jako symbol niezwykłej akcji ratunkowej.

Królewscy pasażerowie

W sierpniu 1926 roku statek wyruszył z Hongkongu w swój

FOT. DOMENA PUBLICZNA

21. i zarazem ostatni rejs przez Pacyfik. Władze armatora, kanadyjskiej linii Canadian Pacific, zdecydowały następnie o przeniesieniu jednostki na znacznie bardziej prestiżową trasę atlantycką. Pierwszy rejs na nowym szlaku odbył się 25 czerwca 1927 roku, gdy liniowiec wypłynął z Southampton do Quebecu. Wśród pasażerów znaleźli się następcy brytyjskiego tronu, książę Walii (późniejszy król Edward VIII), jego brat książę Jerzy, książę Kentu oraz premier Wielkiej Brytanii Stanley Baldwin.

Na Atlantyku „Empress of Australia” tworzył elitarną flotę Canadian Pacific wraz z „Empress of Scotland” i „Empress of France”. W 1928 roku statek rozpoczął również działalność wycieczkową, odbywając luksusowe rejsy turystyczne poza głównym sezonem oraz popularne wówczas podróże dookoła świata. Po wycofaniu „Empress of France” liniowce „Empress of Australia” i „Empress of Scotland” obsługiwały połączenia transatlantyckie jako dwuokrętowy zespół. Charakterystyczne białe kadłuby z ciemnoniebieskim pasem i zieloną linią wodną stały się jednym z symboli luksusowych podróży między Europą a Ameryką Północną.

W 1938 roku statek przeszedł gruntowny remont w stoczni Harland & Wolff

w Southampton, przygotowując się do kolejnego sezonu. Rok później, 8 marca 1939 roku, doszło do kolizji z francuskim statkiem towarowo-pasażerskim „Eridan” w porcie w Algierze, jednak uszkodzenia nie wykluczyły jednostki z dalszej eksploatacji. Najbardziej prestiżową rolę „Empress of Australia” odegrał jednak wiosną 1939 roku. Po kilku rejsach przez Atlantyk został wybrany na królewski jacht dla króla Jerzego VI i królowej Elżbiety podczas ich historycznej wizyty w Kanadzie. Specjalnie przygotowana jednostka, występująca wówczas pod oznaczeniem HMY (His Majesty's Yacht) „Empress of Australia”, wypłynęła z Portsmouth 6 maja 1939 roku i dotarła do Quebecu 17 maja. Rejs trwał dłużej niż planowano z powodu gęstych mgieł na Atlantyku. Podróż królewskiej pary do Kanady była pierwszą wizytą urzędującego brytyjskiego monarchy w tym kraju. Tym samym dawny niemiecki transatlantyk, zbudowany w Szczecinie jako „Admiral von Tirpitz”, stał się na krótko jednym z najważniejszych statków Imperium Brytyjskiego.

Wojna po raz drugi

Po wybuchu II wojny światowej luksusowy liniowiec został skierowany do Southampton, gdzie przeszedł przebudowę



FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Empress of Australia” podczas rejsów wycieczkowych

na transportowiec wojskowy. Kadłub pomalowano na szaro, zamontowano uzbrojenie, w tym działko kalibru 76 mm, a wnętrza dostosowano do przewozu nawet 5 tysięcy żołnierzy. Pierwszy wojenny rejs statek rozpoczął 28 września 1939 roku. Jednostka skierowała się do Cejlonu (obecnie Sri Lanka) i Bombaju w Indiach, po czym została przetrzucona na Atlantyk. Z Halifaxu w Kanadzie wyruszyła w składzie dużego konwoju transportującego kanadyjskich żołnierzy do Europy. Przez całą wojnę statek miał opinię wyjątkowo szczęśliwej jed-

nostki. W 1941 roku pojawiły się nawet doniesienia, że został storpedowany u wybrzeży Afryki, jednak informacje te okazały się nieprawdziwe. Liniowiec uniknął losu wielu innych transportowców, które padły ofiarą niemieckich U-Bootów.

Poważniejsze uszkodzenia odniósł tylko raz. W styczniu 1943 roku, podczas kampanii północnoafrykańskiej, doszło do kolizji z należącym do Orient Line statkiem „Ormonde”. Zderzenie spowodowało przebiecie kadłuba, lecz jednostkę szybko naprawiono i przywrócono do służby.

W ostatnich miesiącach wojny „Empress of Australia” uczestniczył w przygotowaniach do planowanej inwazji aliantów na Japonię. W 1945 roku przewoził na Okinawę żołnierzy Royal Air Force, którzy mieli przygotować lotniska dla operacji „Downfall” - gigantycznego desantu na Wyspy Japońskie.

Do inwazji jednak nie doszło. Po zrzuconiu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki Japonia skapitulowała, zamieniając statek dotarł do celu. W rezultacie zmieniono jego zadanie i skierowano go do udziału

w ponownym przejęciu Hongkongu przez Brytyjczyków.

3 września 1945 roku „Empress of Australia” znalazła się wśród pierwszych brytyjskich jednostek, które wpłynęły do portu w Hongkongu po zakończeniu japońskiej okupacji. Był to symboliczny moment kończący jego wieloletnią wojenną służbę.

Ostatni wojenny rejs odbył z Hongkongu i Singapuru. Na pokładzie znajdowali się byli jeńcy wojenni oraz internowani cywile, którzy po latach niewoli wracali do domów. Dla „Empress of Australia” był to godny finał służby, podczas której przewiózł setki tysięcy żołnierzy i uczestniczył w działaniach na niemal wszystkich najważniejszych teatrach II wojny światowej.

Po wojnie wrócił jeszcze do służby pasażerskiej, lecz era wielkich liniowców powoli dobiegała końca. Coraz większą konkurencję stanowiło lotnictwo, a utrzymanie przedwojennych jednostek stawało się nieopłacalne.

W 1952 roku zapadła decyzja o wycofaniu statku ze służby. Został sprzedany na złom i rozebrany w szkockim Inverkeithing.







Tak zakończyła się historia jednostki, która miała być symbolem niemieckiej potęgi morskiej, lecz większość życia spędziła pod obcą banderą.

REKLAMA

0011523056



Latem zadbaj o zdrowie

-  Zakwaterowanie
-  3 posiłki dziennie w formie bufetu szwedzkiego
-  Konsultacja lekarska
-  2 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)
-  90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)
-  Voucher do Integracja Cafe

 52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320

 medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl

 www.solanki.pl



Wojciech Frelichowski
Region

Niepostrzeżenie minęło 10 lat od rozpoczęcia budowy amerykańskiej bazy tarczy antyrakietowej w Redzikowie. 13 maja 2016 roku wbito pierwszą symboliczną łopatę, czego dokonali najważniejsi ówczesni polscy politycy. Baza w Polsce to druga tego typu instalacja w Europie. Od 2018 roku US Navy obsługuje już siostrzaną instalację w Deveselu w Rumunii. Tamtejsza instalacja tak samo, jak Redzikowo, ma bronić Europy, NATO

Idea tarczy antyrakietowej

Na początku XXI wieku, wobec rozwoju technologii rakietowej, dostępnej także dla państw, które Stany Zjednoczone uznają za terrorystyczne, za Oceanem pojawiła się idea opracowania systemu, który chroniłby USA przed rakietami dalekiego zasięgu wyrzelnymi z Bliskiego Wschodu i północnej Afryki. W 2002 Stany Zjednoczone rozpoczęły rozmowy z Polską i innymi krajami europejskimi na temat możliwości utworzenia europejskiej bazy przechwytyjącej pociski dalekiego zasięgu.

Formalne negocjacje z Polską rozpoczęły się w 2007 roku. Plany budowy bazy w Redzikowie spotkały się ze sprzeciwem lokalnej społeczności, w tym z licznymi protestami. Jednym z nich był protest w marcu 2008 roku, kiedy to około 300 protestujących maszerowało w miejscu planowanej budowy bazy rakietowej. Rząd zapewnił, że w zamian za umieszczenie bazy w Redzikowie, region otrzyma wsparcie finansowe i inwestycyjne.

20 sierpnia, w Warszawie sekretarz stanu USA Condoleezza Rice i minister spraw zagranicz-

Tarcza w Redzikowie. Dziesięć lat temu wbito pierwszą łopatę



FOT. GMINA REDZIKOWO



FOT. LUKASZ CAPAR



FOT. GMINA REDZIKOWO



nych Polski Radosław Sikorski podpisali „Umowę między rządem Stanów Zjednoczonych Ameryki a rządem Rzeczypospolitej Polskiej w sprawie rozmieszczenia na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej naziemnych systemów przechwytyjących obrony przeciwrakietowej.

Jednak rok później nastąpił zwrot. Ówczesny prezydent USA Barack Obama stwierdził, że wobec braku zagrożenia rozwoju rakiet dalekiego zasięgu

przez Iran, tarcza antyrakietowa nie jest konieczna. Ta zmiana kierunku wywołała perturbacje związane z budową instalacji.

Początek budowy

W rezultacie 13 maja 2016 nastąpiło uroczyste rozpoczęcie budowy bazy tarczy antyrakietowej. Do Redzikowa zjechała wówczas cała polityczna i rządowa góra. W uroczystym rozpoczęciu budowy bazy tarczy antyrakietowej uczestniczyli

m.in. ówczesny prezydent RP Andrzej Duda oraz ówczesny minister obrony narodowej Antoni Macierewicz, minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski, delegacja amerykańska wraz z ambasadorem Stanów Zjednoczonych Paul Jones.

Początkowo wszystko miało być gotowe w 2018 roku. Po kolejnych przesunięciach terminów zakończenia budowy ostatecznie 13 listopada 2024 roku baza była gotowa pod względem operacyjnym.

Marynarze na lądzie

Co ciekawe, baza w Redzikowie podlega pod dowództwo floty USA, a jej oficjalna nazwa to Naval Support Facility Redzikowo, czyli Baza Wsparcia Marynarki Wojennej Redzikowo.

Jak podaje portal defence24.pl, baza w Redzikowie to tak naprawdę wkopany w ziemię amerykański okręt rakietowy klasy AEGIS (niszczyciel typu Arleigh Burke lub krążownik typu Ticonderoga). Zrobiono tak nieprzypadkowo,

ponieważ zastosowanie systemu kierowania uzbrojeniem, sprawdzonego już na ponad 100 okrętach ograniczało koszty projektowania i budowania instalacji lądowej oraz dawało gwarancję, że wszystko będzie działało bez zarzutu.

Na terenie bazy zainstalowano pociski z rodziny SM-3, zdolne do strącania rakiet balistycznych. W sumie tarcza w Redzikowie ma 21 tego typu antyrakiet, które będą odpa-

lane z trzech kontenerowych wyrzutni rodziny MK 41.

Załoga bazy w Redzikowie liczy 130 amerykańskich marynarzy i żołnierzy.

Baza w Polsce to druga tego typu instalacja w Europie. Od 2018 roku US Navy obsługuje już siostrzaną instalację w Deveselu w Rumunii. Tamtejsza instalacja tak samo, jak Redzikowo, ma bronić Europy, NATO i terytorium Stanów Zjednoczonych przed atakiem balistycznym z Iranu.

REKLAMA

0011521052



Forum Dostawców
Przemysłu Energetycznego
i Obronnego

Rzeszów 2026

15 czerwca 2026 Rzeszów

ZAPISZ SIĘ JUŻ DZIŚ

energiazpolski.pl

Udział bezpłatny.

Liczba miejsc ograniczona.

- **Panele dyskusyjne** o sytuacji i inwestycjach w sektorach energetycznym i obronnym
- **Warsztaty** poświęcone mechanizmom finansowania dla dostawców, procesom certyfikacyjnym oraz prawu zamówień publicznych

Przyjedź. Pokaż swoją firmę.

Nawiąż kontakty z ludźmi, którzy decydują o kluczowych zamówieniach i nowych inwestycjach.

Widzą świat inaczej. I sięgają własnych gwiazd

Martin Nowak
Zbliżenia

Są w spektrum autyzmu. Wyróżniają się ponadprzeciętnymi zdolnościami, kreatywnością i determinacją, które mogą doskonalić w Wielkopolskim Samorządowym Centrum Edukacji i Terapii w Starej Łubiance pod Piłą. To więcej niż szkoła. To przestrzeń, która pozwala rozwijać skrzydła także tym, którym trudniej odnaleźć się w społeczeństwie

Bill Gates, Anthony Hopkins i Elon Musk, a nawet Lionel Messi. To znani i bogaci, których łączy jedno - wszyscy są w spektrum autyzmu. Ich historie pokazują, że autyzm to nie zawsze tylko deficyty i ograniczenia, ale niewyobrażalna przestrzeń, w której można sięgać gwiazd.

W Wielkopolskim Samorządowym Centrum Edukacji i Terapii w Starej Łubiance (gm. Szydłowo) pod Piłą, na około 150 uczniów około 50 ma autyzm.

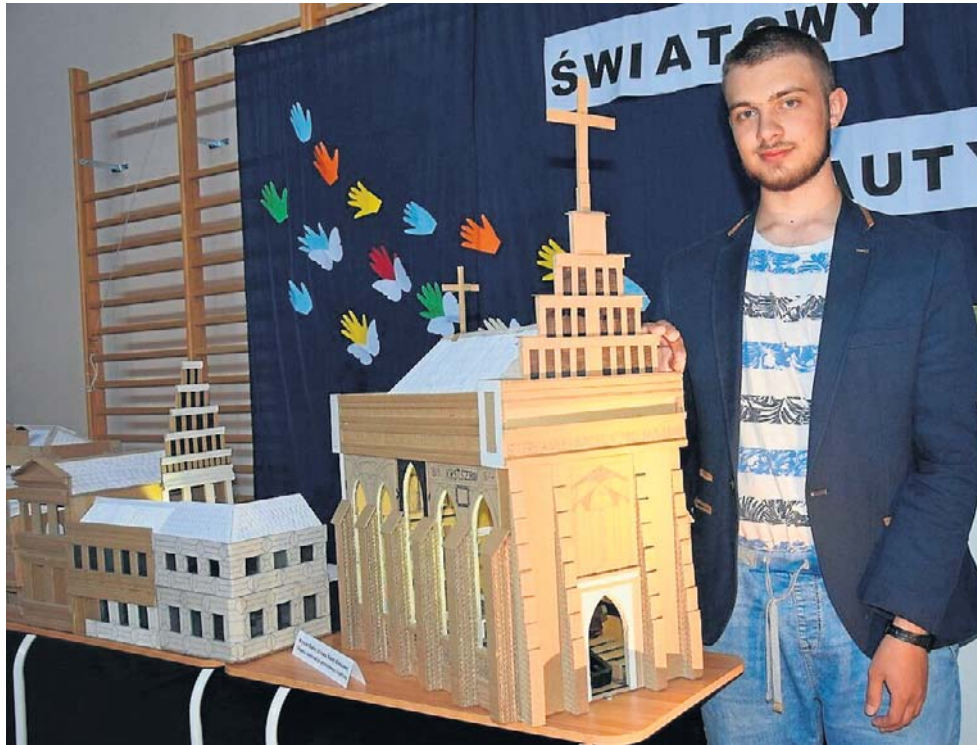
Czym on jest? Przede wszystkim trzeba wiedzieć, że nie jest to choroba.

- Osoby w spektrum autyzmu często odbierają świat inaczej - intensywniej, bardziej szczegółowo, czasem w sposób trudny do zrozumienia dla innych. Nie oznacza to jednak, że czują mniej. Wręcz przeciwnie - ich wrażliwość, spostrzegawczość i unikalne spojrzenie na rzeczywistość są niezwykle cenne - mówi Renata Duszara, wicedyrektor szkoły, a także pedagog specjalny i psycholog.

- Zatrzymajmy się czasem i spróbujmy zrozumieć drugą osobę, zamiast ją oceniać. Mały gest - uśmiech, pomoc, cierpliwość - może mieć ogromne znaczenie. Warto pamiętać, że każdy mierzy się z własnymi trudnościami. U niektórych są one bardziej widoczne, u innych mniej, ale wszyscy potrzebujemy zrozumienia, wsparcia i akceptacji.

Człowiek wielu talentów

Spotkałem się z Krystianem, który rzeczywiście może pochwalić się wieloma talentami i m.in. niebywałą wiedzą historyczną. 18-latek, który uczy się obecnie w trzeciej klasie Szkoły Branżowej tworzy modele m.in. kościołów i zamków, wy-



Kartonowe makiety to jedno z licznych hobby Krystiana. Tworzy też nowoczesne rzeźby i para się kowalstwem

konuje nowoczesne rzeźby z gazobetonu i dzieła z piankoliny, a także działa w kowalstwie.

- Gdy byłem dzieckiem, oglądałem program typu reality show „Wykute w ogniu” na kanale HISTORY, w którym mistrzowie kowalstwa rywalizowali o tytuł mistrza i nagrodę pieniężną. Bardzo mnie on zainteresował i wpadłem na pomysł, że skoro oni mogą robić takie rzeczy, to ja też mogę i nie przestraszyło mnie ostrzeżenie na początku każdego odcinka, które mówiło o tym, żeby nie próbować tego w domu. Spróbowałem i nie żałuję - opowiada Krystian Białon.

Początki nie były łatwe. Nie obyło się bez licznych poparzeń, ale determinacja w dążeniu do celu okazała się silniejsza.

- Na początku miałem do dyspozycji cegłówkę, młotek i piec, który grzeje dom. Później rozwinąłem skrzydła. Dziś mam już kowadło, młotki, szlifierkę i dalej piec, który grzeje dom.

Kolekcję ma już całkiem sporą. Wykonał już m.in. maczety, noże, szable...

- Maczetę wykonałem z kawałka resora samochodowego, który ręcznie rozkuwałem. Dwa elementy zewnętrzne rękojeści wykonałem z drewna jabłoni, która rosła obok mo-

jego domu, a w jej środku kryje się drewno winorośli - tłumaczy Krystian Białon, który obecnie kształci się w zawodzie cukiernika. Marzy mu się jednak zdanie matury i studia na wydziale artystycznym. Na pytanie: czy w kowalstwie do pomocy, odpowiada z przyzwyczajeniem oka. - Mam rękę, a nawet dwie.

Co ma w najbliższych planach? - Muszę zrobić jeszcze typowo japoński miecz, a także większy kościół, który pamiętałby Szweda i Niemca. Poza tym, moim największym marzeniem jest zwiedzić Mezopotamię, czyli dzisiejszy Irak, bo tam powstawały pierwsze cywilizacje - zdradza 18-latek, który posiada ogromną wiedzę historyczną. - Zaskoczyłem już niejednego przewodnika - wyznaje.

A o historycznych faktach i ciekawostkach mógłby opowiadać bez końca. Do tego też ma ogromny talent.

Z miłości do słodczy i grafiki

Paulina Cybulska to uczennica II klasy Szkoły Branżowej, która także uczy się w zawodzie cukiernika. To jej marzenie z dzieciństwa. - Od zawsze chciałam robić torty urodzinowe dla mojej rodziny - mówi. Oprócz cukiernictwa jej ogromną pasją jest grafika cy-

frowa. Paulina rysuje różne postacie, które z wyobraźni przenosi na kartkę papieru.

- Jedną z nich ma na imię Paulina. To ja, ale trochę w innej wersji - zdradza.

W swoich pracach dba o najmniejsze szczegóły. Rysuje pięknie. Widać, że ma ogromną wyobraźnię, a patrząc na stroje jej bohaterów, można wywnioskować, że ma także dar do projektowania. Jest samoukiem.

Uczę się na własnych błędach. To mnie rozwija - mówi z przekonaniem, że każda kolejna jej praca będzie jeszcze lepsza od poprzedniej.

Talent w rękach

Natalia Brzezińska w Starej Łubiance również zdobywa zawód cukiernika, ale ma też ogromne zamiłowanie do szydełkowania i innych robótek ręcznych. Tę pasję przejęła w genach.

- Mój pradziadek robił na drutach, a moja babcia szydełkowała i robiła na drutach, tak samo jak później moja mama. Mi również udzieliło się szydełkowanie. Lubię to - mówi Natalia.

Podczas wystawy prac uczniów zaprezentowała m.in. chustę, torebkę, a nawet koc.

- Moim pierwszym projektem była chusta, którą robiłam pod nadzorem pewnej pani pedagoga. Kosztowała mnie ona

bardzo dużo pracy, ale było warto. Nie ma osoby, której by się ona nie podobała.

Pierwsze nauki pobierała od mamy, ale także zdobywała wiedzę we własnym zakresie.

- Pomocne okazały się filmy na YouTube, skąd czerpałam nie tylko wiedzę, ale też inspiracje.

Natalia tak naprawdę zaczęła jednak od zupełnie czegoś innego. Najpierw były bransoletki m.in. z kolorowych koralików. Zrobiła ich bardzo wiele.

- Wiele z nich mam do dzisiaj. Na pamiątkę.

Nastolatka chce się rozwijać i zdobywać coraz wyższe wykształcenie. Szkoła jej w tym pomaga.

- Sporo nauczyłam się w tej szkole i poczułam, że jestem ważna - podkreśla.

Muzyk - poliglota marzy o własnej cukierni

Igor Machnio to ogromny talent muzyczny. Pochodzi on z domu, w którym od pokoleń grano i śpiewano.

- Moja babcia śpiewała, a dziadek grał na akordeonie. Poza mną, śpiewa także moja siostra - mówi Igor, który z sukcesami występował już na niejednej scenie i podczas wielu różnych konkursów.

Igor nie tylko śpiewa, ale też od pięciu lat gra na saksofonie. Jakie jest jego największe muzyczne marzenie?

- Chciałbym kiedyś zaśpiewać na jednej scenie razem z Igorem Herbutem, ponieważ bardzo lubię jego barwę głosu. Moim największym idolem jest jednak nieżyjący już Krzysztof Krawczyk, którego piękne melancholijne brzmienie inspiruje mnie do pisania własnych piosenek - mówi Igor Machnio.

Chłopak ma już zaplanowaną swoją przyszłość. Tę widzi we Francji, gdzie chciałby otworzyć własną cukiernię. Igor bowiem również uczy się w zawodzie cukiernika, a jego ulubionymi przysmakami są m.in. bezy, serniki i makaroniki.

- Francja to kraj ogromnych możliwości, znany na świecie z najlepszych wyrobów cukierniczych.

Igor, co ciekawe, to urodzony poliglota. Mówi, że zna kilka języków obcych.

- Znam angielski, niemiecki, francuski, rosyjski, ukraiński, włoski, hiszpański i portugalski.

Obecnie uczę się także języka japońskiego.

Szkoła na medal

Tak zdolnych uczniów ze spektrum autyzmu w szkole w Starej Łubiance jest dużo więcej. Pochodzą oni z różnych stron Polski.

- Nasza szkoła jest wyjątkowa, dlatego jest nią aż tak duże zainteresowanie. Nie jest duża, ale bardzo nowoczesna i ma własny internat - mówi wicedyrektor Renata Duszara.

Placówka kształci zarówno uczniów w normie intelektualnej, jak i osoby z różnymi rodzajami niepełnosprawności. Bogata oferta edukacyjna umożliwia zdobycie zarówno wykształcenia ogólnego, jak i konkretnych kwalifikacji zawodowych, które zwiększają szanse absolwentów na rynku pracy i sprzyjają ich samodzielności.

W ramach oferty funkcjonuje m.in. Liceum Ogólnokształcące, w tym unikatowy czteroosobowy oddział dla uczniów ze spektrum autyzmu.

Chyba nie ma nigdzie indziej w Polsce takiej czteroosobowej klasy - dodaje Renata Duszara.

Uczniowie mogą również wybrać naukę w technikum, gdzie dostępne są kierunki, takie jak technik agroogrodnictwa czy technik architektury krajobrazu i arborystyki.

Dla osób zainteresowanych kształceniem zawodowym przygotowano szeroką ofertę Branżowej Szkoły I Stopnia. Uczniowie mogą zdobyć zawód cukiernika, agroogrodnika, ogrodnika terenów zieleni, florysty czy mechanika-operatora pojazdów i maszyn rolniczych. Dostępne są także kierunki dedykowane uczniom z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim, takie jak pracownik pomocniczy obsługi hotelowej czy asystent ogrodnicy i asystent florystyczny.

WSCEiT prowadzi również Szkołę Specjalną Przesposabiającą do Pracy, skierowaną do osób z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu umiarkowanym i niepełnosprawnościami sprzężonymi. Oferta edukacyjna obejmuje także Szkołę Policealną, gdzie można zdobyć zawód technika administracji, oraz Liceum Ogólnokształcące dla Dorosłych, umożliwiające kontynuowanie nauki osobom w późniejszym wieku.

Seniorka pod tramwajem. kto zapłaci za krzywdę?

Małgorzata Oberlan
Kontrowersje

83-letnia pani Irena z Torunia, wysiadając z tramwaju, wpadła pod niego, a motorniczy ruszył. Cudem przeżyła. Po ośmiu miesiącach od dramatu prokuratura wciąż nie wie, kto zawinił. Miejski przewoźnik do winy się nie poczuwa, a jego ubezpieczyciel na razie odszkodowania płacić nie chce

Nasza mama jest dziś cieniem dawnej siebie. Przed wypadkiem była taka energiczna i samodzielna. Dziś porusza się głównie z balkonikiem. O tym, by na przykład w mojej asyście wsiadła do tramwaju czy autobusu, nie ma mowy. Boi się, ma traumę - mówi pani Mariola, córka poszkodowanej seniorki.

To, co jeszcze niesamowicie boli bliskich pani Ireny, to fakt, że do dziś - a minie niebawem osiem miesięcy od dramatu - nikt ze strony Miejskiego Zakładu Komunikacji w Toruniu nawet nie zadzwonił z pytaniem o stan zdrowia poszkodowanej kobiety. A telefon kontaktowy spółce przekazano...

-Zabrakło tych najprostszych słów: „przykro nam?” - podkreśla pani Mariola. - My, jako rodzina, rozumiemy to, że motorniczy tramwaju nie zrobił przecież niczego specjalnie. Mówiliśmy o tym już dla prasy. Po kilku miesiącach od wypadku dopiero zdecydowaliśmy się skorzystać z pomocy prawnika i formalnie wystąpić do ubezpieczyciela MZK o odszkodowanie i zadośćuczynienie za cierpienie. Czy mama tego jednak kiedykolwiek doczeka?

Cudem przeżyła

83-letnia pani Irena całe zawodowe życie pracowała jako szwaczka w toruńskim Torpo. Mieszka na ul. Gagarina, z synem i synową. Jej córka natomiast, pani Mariola, mieszka piętro wyżej.

- Do wypadku mama była sprawną i energiczną osobą, w naprawdę dobrej formie jak na swój wiek. Sama sobie gotowała, sprzątała, lubiła wyprawiać się po zakupy czy załatwiać jakieś sprawy „na mieście”. Oczywiście, że zawsze mogła i może liczyć na pomoc rodziny, ale była zadowolona ze swojej samodzielności - podkreśla córka, pani Mariola.

12 września 2025 r. pani Irena wybrała się do pewnego gabinetu w związku ze swoimi problemami słuchowymi (niedosły-



FOT. MALGORZATA OBERLAN

Do dramatycznego wypadku doszło 12 września 2025 r. właśnie tutaj - na przystanku Przy Kaszowniku w Toruniu. 83-letnia pani Irena wpadła pod tramwaj, motorniczy ruszył... Przeżyła, ale jak mówi jej rodzina - jest dziś cieniem samej siebie

szy na jedno ucho). Pojechała tramwajem.

- Długo nie wracała i zaczęliśmy się z bratem martwić. Z internetu dowiedzieliśmy się, że na przystanku Przy Kaszowniku doszło do wypadku. Coś mnie tknęło. Zaczęłam obdzwaniać szpitale. Itak się dowiedzieliśmy o wszystkim. Policja czy lekarze sami do nas nie dzwonili - opowiada pani Mariola.

Co się wydarzyło na przystanku? Seniorka po wyjściu z pojazdu (starego typu) wpadła między krawężnik a jeden z dwóch wagonów. Motorniczy ruszył, bo jej nie zauważył. Wtedy doszło do dramatu. Wszystko wskazuje na to, że byłby on jeszcze większym, gdyby nie pewien pasażer, który zaciągnął hamulec ręczny - to uniemożliwiło tramwajowi dalszą jazdę i ciągnięcie kobiety.

Potrzebna była interwencja strażaków, by podnieść wagon i wydostać poszkodowaną. Pani Irena odniosła poważne obrażenia. Trafiła najpierw do szpitala miejskiego na Batorego, a potem do wojewódzkiego na Bielanach. - Mama miała między innymi złamane obie ręce, zebra i mostek. Cud, że z tego wszystkiego wyszła - mówi pani Mariola.

Kto zawinił? Biegły nie jest w stanie wydać opinii i zaleca eksperyment

Miejski Zakład Komunikacji w Toruniu od początku stoi twardo na stanowisku, że motorniczy tramwaju przy tym wypadku nie zawinił. Ustami swojej rzeczniczki Sylwii Derengowskiej przekazywał, że seniorka znalazła się w tak zwanym „martwym polu” - poza zasięgiem widoczności motorniczego. Ten ruszył, bo najwyuczajniej w świecie nie miał szans jej zauważyć.

Czy tak było faktycznie? Powołany do sprawy biegły ds. re-

konstrukcji wypadków - Sławomir Dylewski - to ekspert z bardzo dużym doświadczeniem. Na razie nie jest jednak w stanie wydać ekspertyzy. - Biegły otrzymał akta sprawy, a więc i cały zebrany materiał dowodowy. Stwierdził jednak, że na tej podstawie nie jest w stanie wydać opinii. Wskazał na konieczność przeprowadzenia eksperymentu procesowego i taki prokuratura zaplanuje - mówi dziś prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka toruńskiej prokuratury.

Tyle że na taki eksperyment przyjdzie jeszcze poczekać. Standardowo biorą w nim udział policjanci, prokurator i biegły. Starają się najwierniej odtworzyć przebieg badanego zdarzenia. I ważny jest tutaj każdy szczegół. - Łącznie z pogodą, kątem padania promieni słonecznych itp. Dlatego też ustalenie samego terminu przeprowadzenia eksperymentu już jest istotne - podkreśla rzeczniczka.

Dopiero po eksperymencie biegły przystąpi do sporządzenia ekspertyzy. I dopiero po wglądzie do niej prokuratura zdecyduje, czy i jak kończyć śledztwo. To wszystko może potrwać jeszcze długo, podobnie jak ewentualny proces karny w sądzie. Tymczasem ubezpieczyciel MZK w Toruniu od finału postępowania karnego właśnie uzależnia swoje decyzje dotyczące wypłaty odszkodowania.

Adwokat wnosi o odszkodowanie. „Zawinił motorniczy tramwaju”

Rodzina seniorki w lutym br. przekazywała nam (ponownie), że choć o dramatu minęło już kilka miesięcy, to ze strony MZK w Toruniu nikt nigdy nie szukał z nimi kontaktu. Nikt nie pytał o zdrowie 83-letniej seniorki, nie padły żadne słowa współczucia czy ubolewania.

Dlatego też w lutym br. właśnie rodzina poszkodowanej postanowiła podjąć zdecydowane kroki. Sprawę powierzyła doświadczonemu prawnikowi - adwokatowi Mariuszowi Lewandowskiemu z Torunia. Znany jest ze skuteczności w sprawach odszkodowawczych (ostatnio opisywaliśmy jego wygraną po kilkuletniej batalii w sprawie „Matka, której zaszyto gazik przy porodzie kontra szpital w Inowrocławiu”).

Na 6 marca br. datowane jest zgłoszenie szkody, które adwokat skierował do PZU - ubezpieczyciela miejskiej spółki MZK w Toruniu. Domaga się w nim wypłaty na rzecz seniorki odszkodowania i zadośćuczynienia za krzywdę.

We wniosku prawnik wskazuje, że jego mocodawczyni „upadła na torowisko i została przygnieciona do betonowego progu (krawężnika) przez tramwaj, który rozpoczął jazdę z przystanku”. - Zdarzenie nastąpiło w sposób nagły i niez-

ależny od mojej mocodawczyni, a jego przyczyną było nieprawidłowe zachowanie kierującego tramwajem, który nie zachował należytej ostrożności podczas odjeżdżania z przystanku - wskazuje adwokat Mariusz Lewandowski.

Dalej w piśmie do ubezpieczyciela wylicza długo wszystkie konsekwencje wypadku: fizyczne, psychiczne oraz te wyniki także dla całej rodziny poszkodowanej seniorki. Domaga się wypłaty odszkodowania i zadośćuczynienia „w kwocie adekwatnej do rozmiaru poniesionej szkody oraz doznanej krzywdy”. Zaznacza też jasno, że w razie odmowy zapłaty w ciągu siedmiu dni od otrzymania pisma przez PZU skieruje sprawę do sądu.

Jak zareagował ubezpieczyciel MZK w Toruniu? - Rozpatrzenie naszego wniosku uzależnił od finału postępowania karnego - przekazuje nam w maju adwokat Lewandowski.

Życie po wypadku.

Ból, trauma i poczucie krzywdy

Jak żyje dziś - po ośmiu miesiącach od wypadku - pani Irena? Wcześniej energiczna i samodzielna seniorka wymaga kompleksowej opieki. Ma ją ze strony syna i synowej, z którymi mieszka, a także mieszkającej po sąsiedzku córki Marioli. Ona wzięła na siebie ciężar załatwia-

nia spraw lekarskich, urzędowych, z prawnikiem etc.

- Mama chodzi, ale z balkonikiem. Kupiliśmy taki niedawno. Są dni, że idzie jej całkiem dobrze. Ale są i takie, że przejdzie pięć-sześć kroków i koniec. Stoi. Mówi, że „wszystko ją boli”. Szczególnie dokuczają jej bóle w mostku - relacjonuje nam w maju pani Mariola.

I tak jest już jednak nieco lepiej niż zaraz po wypadku i wyjściu ze szpitala. Od tamtego czasu zresztą cała rodzina musiała przeorganizować swoje życie. To, co najbardziej smuci bliskich pani Ireny, to jej stan psychiczny. Wyraźnie widać, że seniorka przeżyła traumę i pewnych procesów chyba już nie da się odwrócić.

- Jak mówiłam, boi się już nawet pod rękę ze mną wejść do tramwaju czy autobusu. To są silne stany lekowe. Namawiałam, prosiłam. Myślałam, że krok po kroczku oswoję mamę znów z komunikacją. Ale nie da rady, widzę. W grę wchodzi najwyższej podróży taksówką - kończy pani Mariola. Ona i inni członkowie rodziny mają też poczucie krzywdy i są rozczarowani tempem badania wypadku. Nikt nie usłyszy z ich ust jakichś oskarżeń pod adresem motorniczego. Nie, padają tylko smutne słowa o tym, że los i krzywdą starszej kobiety chyba jakoś nikomu na sercu nie leży. I proste pytanie: czy tak powinno być? ©

REKLAMA

0011524634

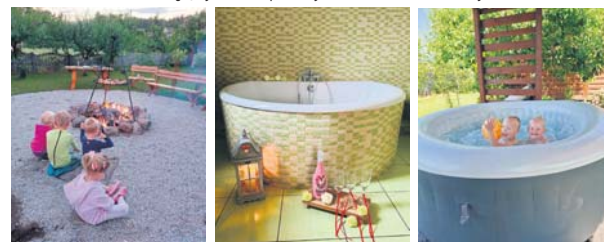


Agroturystyka Megane

- wypoczynek w sercu Puszczy Noteckiej

Zapraszamy do naszej klimatycznej agroturystyki położonej w otoczeniu malowniczej Puszczy Noteckiej.

Oferujemy komfortowe noclegi dla około 20 osób, idealne dla rodzin, grup przyjaciół oraz wszystkich szukających odpoczynku blisko natury.



- Na terenie obiektu znajduje się duży plac zabaw dla dzieci, trampolina, jacuzzi oraz miejsce na ognisko.
- Organizujemy również kameralne przyjęcia okolicznościowe.
- Dla osób lubiących aktywny wypoczynek dostępna jest możliwość wynajęcia kajaków.



Agroturystyka Megane | ul. M. Drzymały 4 | 64-735 Miały

Agroturystyka Megane to miejsce, gdzie można naprawdę odpocząć - w ciszy, zieleni i blisko natury.

Rezerwacje i informacje: 790-592-334

Znajdziesz nas na
Facebooku: Agroturystyka Megane oraz w internecie:
www.megane.agro.pl

Katarzyna Piojda
Zbliżenia

Klasa jechała na wycieczkę. Policjanci zatrzymali autokar. Wychowawczynie myślały, że sprawdzą kierowcę. Funkcjonariuszom chodziło jednak o to, że dzieci w ostatnim rzędzie nakleili na tylną szybę napis: „Porwano nas”

Kto myśli, że nauczyciel na szkolnej wycieczce ma klawę życia, bo przecież nie prowadzi wtedy lekcji (choć ma płacone), ten się myli. Nudno nie jest, ale stresująco - owszem. Przypadków nie trzeba daleko szukać.

Nauczycielka z Bydgoszczy zaczyna: - Byłam wychowawcą III klasy liceum ogólnokształcącego. Dwie rówieśnicze klasy jechały autokarem na wycieczkę nad morze. Ponad 40 uczniów i czworo nauczycieli, w tym dwoje wychowawców. Mniej więcej w połowie drogi zatrzymała nas policja. Myślałyśmy z koleżankami nauczycielkami, że funkcjonariusze wchodzą do autokaru, bo chcą sprawdzić stan trzeźwości kierowcy i stan techniczny pojazdu.

Zdziwiły się, kiedy poznały powód kontroli. - Okazało się, że grupka pięciu chłopców, siedzących w ostatnim rzędzie, jeszcze w domach wpadła na pomysł przygotowania żartu. Wydrukowali kartki. Jedna kartka, jedna litera. Gdy zajęli ekipą najdalsze siedzenia w autokarze, nakleili te kartki na tylną szybę. Byłyśmy z koleżankami zobaczyć w trasie, jak sprawuje się tył. Chłopcy nie dokazywali. Nie zwróciliśmy uwagi na naklejki na szybie. Tak się złożyło, że za nami jechał radiowóz. Policjanci zobaczyli napis na oknie „Porwano nas”. Jak później funkcjonariusze mówili, byli pewni na 99 procent, że to uczniowski żart, ale woleli zyskać jeszcze ten jeden procent pewności. I dlatego nas zatrzymali.

Nauczycielkom zrobiło się wstyd, a zgranej piątce dowcipnych kumpi - nieswojo. - Zrobić kawał, na skutek którego interweniuje policja, to już przegięcie chłopców - sądzi nauczycielka. - Wycieczka trwała trzy dni. Prawie wszystkie dzieciaki mega się bawiły. Tylko tej piątce humory średnio dopisywały. Może słusznie. Dyrekcję szkoły oraz rodziców uczniów poinformowałyśmy o incydencie. Po powrocie z wyjazdu też poruszyliśmy temat na zebraniu. Matki i ojcowie piątki oburzyli się, że to my, nauczycielki, byłyśmy winne, ponieważ nie dopilnowałyśmy chłopców.

Upojna noc

A propos dopilnowania: - Gdyby nieletnia uczennica na wycieczce szkolnej zaszła w ciążę, przykładowo z kolegą z klasy, jej rodzice teoretycznie

Uczniowie są zdolni. Na wycieczce szkolnej - do wszystkiego



Wygląda to na grzeczną zabawę, ale... Doświadczony nauczyciel - opiekun na szkolnej wycieczce cały czas jest czujny i ma swoich uczniów pod kontrolą, świadom tego, do czego zdolni bywają niektórzy nastolatki

mogliby nas, organizatorów i opiekunów wycieczki, oskarżyć o niedopełnienie obowiązków - wyjaśnia inna nauczycielka z Kujawsko-Pomorskiego. - Mogliby bowiem uznać, że powinniśmy bardziej kontrolować młodzież podczas wyjazdu. Przed laty głośno było się o rodzicach, którzy mieli pretensje do wychowawczyń, że ich córka zaszła w ciążę właśnie na szkolnym wyjeździe. To, że nastolatka będzie miała dziecko, wyszło na jaw półtora miesiąca później. Dziewczyna przyznała się przed rodzicami, że spała z kolegą z klasy w jednym łóżku. Otóż nie tylko spali w tym łóżku.

Obowiązki służbowe

Nauczycielka: - Rodzice dziewczyny za winną ciąży uznali wychowawczynię klasy, do której para nastolatków chodziła. Stwierdzili, że do zapłodnienia doszło w wyniku zaniedbania obowiązków służbowych przez nauczycielkę. Przekonywali, że gdyby wychowawczynie regularnie zaglądała

do pokoi uczniów w pensjonacie, zauważyłaby, że chłopak siedzi nocą w dziewczynie. Rodzice dziewczyny zamierzali skierować sprawę do sądu przeciw wychowawczynie i walczyć o odszkodowanie za - jak to określili - straty moralne swoje i córki.

Mama i tata powoływali się na Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej z dnia 26 lipca 2018 r., zmieniające rozporządzenie w sprawie warunków i sposobu organizowania przez publiczne przedszkola, szkoły i placówki krajoznawstwa i turystyki. Zgodnie z przepisami „kierownik wycieczki (...) zapoznaje uczniów i opiekunów wycieczki z zasadami bezpieczeństwa oraz zapewnia warunki do ich przestrzegania; określa zadania opiekunów wycieczki w zakresie realizacji programu wycieczki oraz zapewnienia opieki i bezpieczeństwa uczniom”. Z tych samych przepisów wynika, że opiekun sprawuje opiekę nad powierzonymi mu uczniami. Skoro tak, to tenże opiekun nie do-

puszcza choćby do tego, aby uczniowie współżyli ze sobą na wycieczce.

Bydgoszczanka opowiada: - Rodzice dziewczyny mieli nadzieję na zasądzenie alimentów albo ich odpowiednika od wychowawczyń. Żadnej rozprawy jednak nie było. Młodzi stanęli na wysokości zadania. Nie wiem, czy są razem nadal, ale czytałam o tej dziewczynie i chłopaku artykuł w kolorowej prasie. Do zdjęcia zapozowali uśmiechnięci, tulili malutką córkę. Dzisiaj ta mała ma pewnie z 10 lat.

Ochrona pedagoga

Nasza rozmówczyni tłumaczy, że nauczyciel może ubezpieczyć się od takich zdarzeń. - Można kupić specjalne polisy nawet na jednodniowe wycieczki z myślą o ochronie nauczycieli. Szkolne ubezpieczenie NNW, czyli następstw nieszczęśliwych wypadków, raczej nie obejmuje ciąży, lecz rozszerzenie polisy lub indywidualne ubezpieczenie może się przydać, kiedy uczennica zajdzie w ciążę i będzie można udo-

wodnić, że stało się to w trakcie wycieczki.

W trakcie wycieczki to uczniom chce się pić i palić. Niektórzy w papierosach i alkoholu widzą jedyną atrakcję klasowego wypadu. Niekiedy przypadkiem się demaskują.

Zdjęcie z piwem

Nauczyciel, tym razem z Torunia, wypowiada się na lokalnym forum: - Miałem wychowawstwo w II klasie szkoły średniej. Dzieciaki 15- i 16-letnie. Byliśmy na czterodniowej wycieczce. Co wieczór spotykaliśmy się całą grupą w świetlicy, żeby obejrzyć zdjęcia, zrobione akurat tego dnia. Wyświetlaliśmy je z projektora, na dużym ekranie. Gdy tak któregoś wieczoru oglądaliśmy fotki, zauważyłem na zdjęciu, że jeden chłopak coś trzyma. Powiększyłem zdjęcie. Okazało się, że to piwo.

Ruszyła procedura. - Powiadomiłem moją dyrekcję i pedagoga szkolnego. Wezwałem pogotowie w celu potwierdzenia, że uczeń znajduje się pod wpływem alkoholu. Wynik był po-

zytywny. Wykonałem telefon do rodziców młodego piwowasa. Musieli odebrać go z wycieczki. Gdyby odmówili przyjazdu, chłopak trafiłby w ręce policji i pewnie do policyjnej izby zatrzymań. Stamtąd i tak musieliby zabrać go rodzice.

- Zdaję sobie sprawę, że ten uczeń nie sam na wycieczce sięgał po alkohol - przypuszcza torunianin. - Wszystkim zrobiłem przeszukanie kieszeni, plecaków i pokoi. Nikogo nie złapałem na picie ani nie znalazłem butelek czy papierosów. Obstawiam, że ten jeden chłopak zaczął wcześniej spożywać alkohol, a jego kumple chcieli do niego dołączyć. Nie zdążyli. Zmuszony do odpowiedzi, przyznał, gdzie kupił alkohol. W wiejskim sklepie spożywczo-monopolowym. Akcja z puszką piwa skutkowałą dla mojego ucznia wydalaniem go ze szkoły. Zrezygnowałem z organizacji klasowych i szkolnych wycieczek, choć przedtem byłem liderem w tym zakresie.

Kolejne uczniowskie eskcesy, o których mówią nauczyciele, to przykładowo przechodzenie na I piętrze z balkonu na balkon sąsiadujących z sobą pokoi, nocne, udaremnione przez belfrów, próby ucieczki na dyskotekę albo zatrucie pokarmowe połowy klasy po zjedzeniu obiadu na mieście.

Bez trzech zębów

Polska Izba Doradców i Pośredników Odszkodowawczych opisywała przypadek Tomka, który wybrał się z klasą na jednodniową wycieczkę w góry. - W trakcie spaceru dzieci weszły na podwyższenie skalne, aby panie nauczycielki mogły zrobić im pamiątkowe zdjęcie klasowe. Tomek poślizgnął się, spadając twarzą na kamień. Osmiołatek stracił trzy zęby. U chłopca orzeczone 10 procent trwałego uszczerbku na zdrowiu. Czechało go długotrwałe i drogie leczenie stomatologiczne.

Rodzice Tomka zwrócili się do firmy ubezpieczeniowej, a ta zdecydowała się zająć sprawą. - Zespół wypadkowy wskazał, iż opiekunowie wycieczki nie powinni pozwolić dzieciom na robienie zdjęć na podwyższeniu skalnym - podają przedstawiciele PIDIPO. - Wobec tego odpowiedzialność za wypadek ponosili nauczyciele. Pełnomocnik rodziców Tomka ustalił, iż szkoła, do której uczęszcza chłopiec, ma wykupione ubezpieczenie OC. Łącznie na rzecz Tomka uzyskano ponad 50000 zł.

Jak nauczyciel wybiera się na wycieczkę, ale do pracy, czyli jako opiekun, wypisuje delegację. W wybranych niepublicznych placówkach trzeba na czas wyjazdu wypisać urlop bezpłatny, bo szkoła wręczy mu osobną umowę zlecenie. ©©

FOT. 123RF/ZDJĘCIE ILLUSTRACYJNE



LEWANBOSKI

PULS
#217

Agaton Kozimiński

ZMIENIA SIĘ FORMA POLITYKI. TREŚĆ POZOSTAJE TA SAMA



Tłum szczerze wypełnił Stadion Śląski w Chorzowie na koncercie Metalliki - i Długi Targ w Gdańsku na spotkaniu z Péterem Magyarem. Jedno i drugie miało w sobie atmosferę wydarzenia wyjątkowego. Metallica - bo to zespół kultowy, w Polsce otoczony nimbem monstrualności muzycznej starannie pielęgnowanym od lat 80. Magyar - bo to polityczny fenomen, człowiek dwa lata temu kompletnie nieznan, który zdołał zakończyć 16 lat rządów Viktora Orbana. Nic dziwnego, że za każdym razem tłumy. Ludzie są różni, ale łączy ich jedno: ciekawość. Gdy mają szansę z bliska przyjrzeć się czemuś, co jest określane jako fenomen, to zawsze z tej okazji skorzystają.

Te dwa zdarzenia teoretycznie z dwóch różnych światów - choć też nie ma żadnych wątpliwości, że polityka coraz chętniej sięga po narzędzia wcześniej zastrzeżone tylko dla show-biznesu. Jeśli ktoś ma wątpliwości, niech sobie przypomni inaugurację prezydentury Wołodomyra Zełenskiego (20 maja akurat przypadła ósma rocznica), gdy ten był aktor niemal przebiegł przez szpaler fanów i z impetem wpadł do Pałacu Maryjskiego w Kijowie. Albo niech zwróci uwagę na niekończące się show (złośliwi by powiedzieli „performans”), które swoim wyborcom funduje Donald Trump. Albo na rockową energię, jaka towarzyszyła kampanii Pétera Magyara. Tańczący na scenie po ogłoszeniu wyników wyborów na Węgrzech Zsolt Hegedus (teraz minister zdrowia w rządzie Magyara) to jeden z większych internetowych hitów maja. Tak też się robi politykę.

Specyfika współczesnej postpolityki wymaga tego typu posunięć. W starym świecie wystarczyły różnokolorowe żakiety Angeli Merkel. W dobie błyskawicznie pędzących mediów internetowych potrzebne są treści wiralowe, robiące wrażenie natychmiast - dokładnie na tej samej zasadzie, jak to się robi w show-biznesie. Dlatego skokarzeń z nim w życiu publicznym będzie coraz więcej.

Tylko proszę sobie nie pomyśleć, że całą politykę trywializuję. Jest dokładnie odwrotnie. Bo o ile życie publiczne ma coraz więcej wspólnego ze światem rozrywki pod względem formy, to już pod względem treści jest dokładnie odwrotnie. Show-biznes składa się z formy pewnie w 90 proc. Powiedzmy sobie szczerze: ilu artystów jest w stanie wyzwolić w nas głębsze emocje niż tylko te związane z przyjemnym spędzaniem czasu? Niewielki ułamek. Reszta to rozrywka, czysta przyjemność zamknięta w atrakcyjnej formie.

W polityce jest inaczej. W niej - oprócz często zmieniającej się formy - tkwi głęboko zakryta treść, którą niesie ze sobą władza. Znow przykład Trumpa. On najsukceszniej podchwycił język współczesnej politycznej formy. Ale do tego dokłada swoją władzę. Świetnie to widać przy zamieszaniu wokół zmniejszenia liczby żołnierzy amerykańskich w Polsce. Czemu? Przecież Trump wcześniej jasno podkreślał, że Polska to wzorowy sojusznik USA. Zmienił zdanie? Zadziałała biurokratyczna inercja - USA chcą zmniejszyć zaangażowanie w Europie, a poprzez Polskę dokonać tego najłatwiej? A może amerykański prezydent gra o coś, czego nie wiemy? Na przykład w ten sposób realizuje ustalenia szczytu z Xi Jinpingiem, albo zmusza Polskę do jakiegoś korzystnego kontraktu dla siebie (druga elektrownia atomowa w naszym kraju, którą podobno mają budować Francuzi). Odpowiedź pewnie poznamy bardzo szybko. Ale jedno widać w pełni: forma polityki zmienia się bardzo szybko. Ale jej istota - czyli władza i narzędzia do jej realizacji - ciągle pozostają dokładnie takie same od stuleci.

Adam Bula

NUDNE GŁĘDZENIE O LICZBACH RZECZYWISTYCH



Kiedyś, by wybić ze słowotoku jakiegoś polityka lub publicystę, wystarczyło go zapytać o różnicę między procentem a punktem procentowym. Albo między średnią, medianą i dominantą. Dziś zbyt trudny dla nich jest już test dla małych dzieci, uczących się tabliczki mnożenia: ile jest 7x8?

Przyznam, że mnie osobiście latami w ocenie publicznych wypowiedzi prześladowała niepewność, czy mówca istotnie jest tak głupi i ograniczony, jak o tym świadczy treść jego przemowy, czy na zimno różnie głupiego, bo mu tak do „spinu” bardziej pasuje. Aż wreszcie obudziłem się pewnego ranka i zobaczyłem mądrość: jakie to, k... ma znaczenie?

Oto czołowy pogrobowiec Ziobry, były przecież minister i doktor nauk prawnych, poseł Michał Wójcik ogłasza, że „zrobiono z Polaków jeleni”, bo ledwie rząd Tuska podpisał straszną pożyczkę SAFE, już Komisja Europejska ogłosiła, że jej oprocentowanie zostaje podniesione. Aż o 5 procent!

Hm, rzeczywiście, podniesiono. Z poziomu 3,17%, którą to wartość podawano w czasie dyskusji o SAFE, do poziomu 3,32%. Czyli nie o 5% tylko o 0,15 p.p. Czy poseł Wójcik w ogóle rozumie tę różnicę, czy łże ludziom na zimno. No właśnie, jaka to w sumie różnica?

Fakt wzrostu oprocentowania pożyczki SAFE łakomym jest jednak newsem, więc temat podnoszą ochoczo kolejni. Już nie kombinując z cyframi, wieszczą katastrofę. „Nie zdążyli wydać z tego jeszcze choćby jednego euro, a już wiadomo, że zapłacimy za ten dług więcej, niż jakkolwiek sądził. Jak tak dalej pójdzie, to skończymy z pożyczką SAFE jak frankowicze na swoich kredytach” - lamentuje np. Ewa Zajączkowska-Hernik. Konfederatka znana głównie z tego, że żyje z krytyki zgniłej Unii, za co jej ta Unia płaci co miesiąc ciężką kasę jako europosłance.

No ale zobaczmy. Wojna Trumpa z Iranem wywindowała ceny ropy, co z tygodnia na tydzień skutkuje coraz większą presją inflacyjną na całym właściwie świecie. Co powoduje, że pożyczanie staje się droższe. Sam Trump płaci już

za to 5,2% - bo do takiego, rzadko widzianego poziomu, skoczyło ostatnio oprocentowanie amerykańskich obligacji 30-letnich. Polska na tym tle trzyma się w sumie nieźle - za pożyczanie kasy na 10 lat płacimy ok. 6 procent (30-latek zasadniczo nie emitujemy).

To nie jest wiedza tajemna. Po prostu na jej tle informacja o zmianie oprocentowania pożyczki SAFE o 0,15 p.p. oznacza, że papiery dłużne emitowane przez Unię Europejską trzymają się niewiarygodnie dobrze na światowym rynku i wzięliśmy najlepszą z możliwych pożyczek. No ale to średnio pasuje do narracji - prawda?

Zawsze jednak można wrócić do głównego, choć lekko już zdezelowanego argumentu, że w ogóle nie trzeba było „zadłużać Polaków na pokolenia”, tylko wziąć darmową kasę ze złota Narodowego Banku Polskiego, co to ją nam, wspólnie z prezydentem Nawrockim, prezes Glapiński szykował. Możemy pominąć przy tym niedogodny fakt, że ostatecznie tzw. niezrealizowany zysk NBP na złocie oszacowano na 135, a nie 197 mld, więc na cały program SAFE i tak trochę by nie stykło.

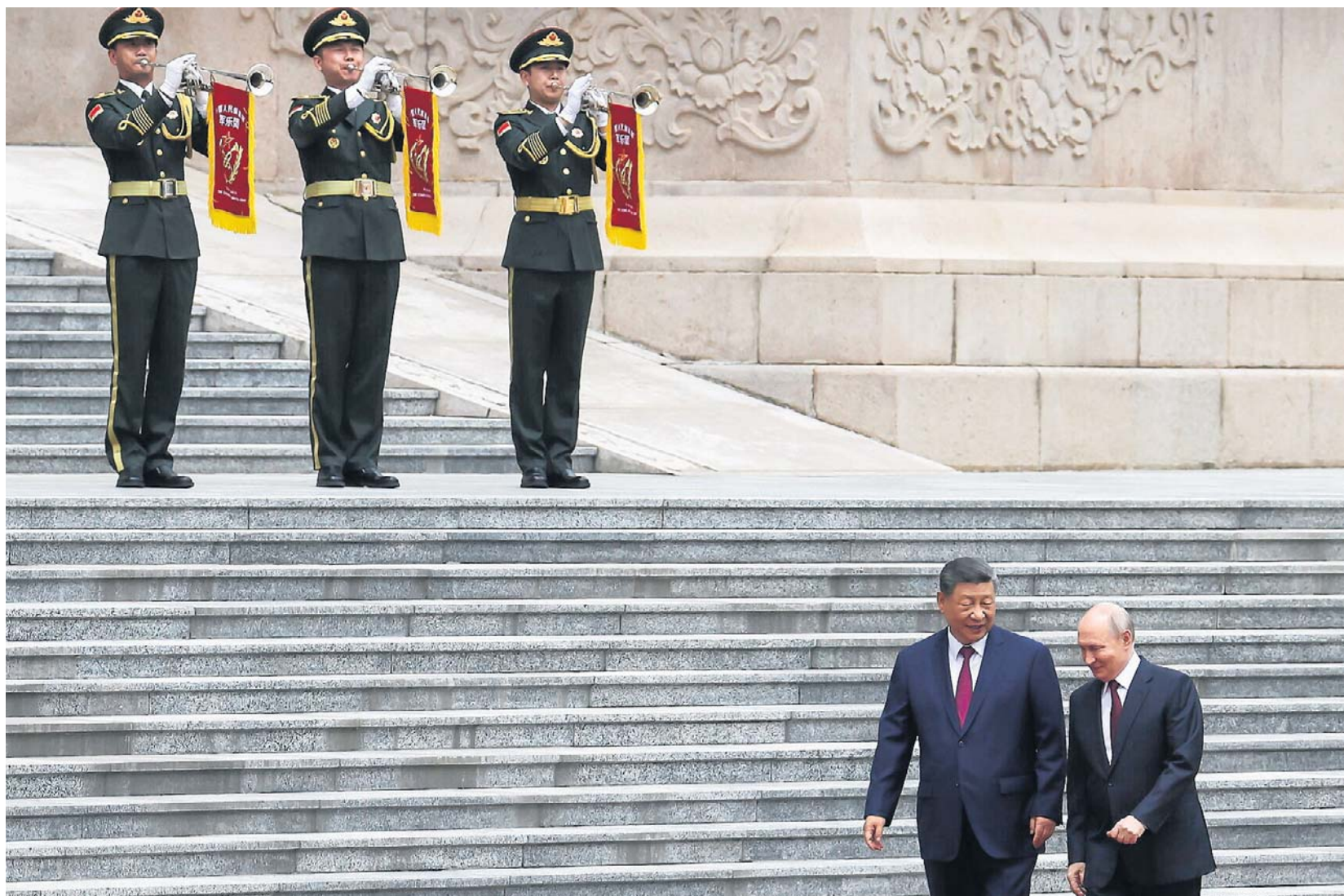
Trudniej jest z faktem, że w czasie, gdy europejska pożyczka podrożała dla nas o 0,15 p.p. (to się, pośle Wójcik, czyta: piętnaście setnych punktu procentowego), złoto staniało o kolejne 5%.

To się Wójcik czyta: 5 procent - i może te 5% miałeś na myśli, kłamiąc Polakom prosto w oczy.

Cieszę się, że tysiącletnia przyjaźń polsko-węgierska otwiera nowy rozdział i ponownie możemy wzmocnić relacje, ponieważ przyszłość jest istotna. („) Ten, kto nie zna historii, ten nie może zrozumieć teraźniejszości i nie zasługuje na przyszłość

PREMIER WĘGIER PETER MAGYAR

FOTOkomentarz tygodnia



20 MAJA,
CHINY

Równo tydzień po wizycie w Pekinie Donalda Trumpa pojawił się tam Władimir Putin. Rosyjski prezydent spotkał się z Xi Jinpingiem. Na poziomie oprawy i deklaracji można było odnieść wrażenie, że Moskwa w oczach Pekinu znaczy tyle samo co Waszyngton, a „przyjaźń bez granic” Putina i Xi to szczerza deklaracja. Ale na poziomie konkretnie tak dobrze to dla Putina nie wyglądało. Xi delikatnie, acz wyraźnie podkreślał, że nie traktuje go jako równorzędnego partnera. I nie za bardzo widać, by rosyjski prezydent - poza ładnymi słowami - coś innego ze sobą do Moskwy zabrał w drodze powrotnej

FOT. PAP/EPA/MAXIM SHEMETOV / POOL



19 MAJA, KRAKÓW. Nowy premier Węgier Péter Magyar złożył wizytę w Polsce. Niekonwencjonalną - do naszego kraju przyjechał pociągiem oraz rejsowym samolotem. W Polsce pojawił się w Krakowie, Warszawie i Gdańsku. Wszędzie Magyara przyjmowano z entuzjazmem. Chyba odwzajemnionym

FOT. MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE PETERA MAGYARA



18 MAJA, WŁOCHY. Karol Nawrocki spotkał się w Rzymie z włoską premier Giorgia Meloni. Wizyta polskiego prezydenta była połączona z obchodami 82. rocznicy zdobycia Monte Cassino

FOT. SYLWIA DĄBROWA



21 MAJA, SZCZECIN. Jak co roku Nocny Bieg Studentów otworzył Juwenalia organizowane przez szczecińskich studentów. Bieg o tyle nietypowy - bo nie o kilometry w nim chodzi, co o efektowny strój

FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

Robert Lewandowski został pożegnany na Camp Nou w sposób, na który mogą liczyć tylko klubowe legendy. I to wyłącznie te największe. Czy zdobywając w Barcelonie aż 7 trofeów spełnił dziecięce marzenie? Otóż nie, ale tylko z tego powodu, że życia i osiągnięć w Katalonii mały Bobek nie mógł sobie nawet wyśnić

Adam Godlewski

WIELKA I CAŁKIEM NIEOCZYWISTA KLUBOWA KARIERA ROBERTA LEWANDOWSKIEGO

po ostatnim występie na Camp Nou w meczu z Betisem Sewilla, na który Robert wprowadził kolegów z FC Barcelona w roli kapita, przez polski X przetoczyła się dyskusja, czy może być uważany za legendę Barcy, czy może się nią czuć. Oczywiście niepotrzebna, bo zarówno kibice, jak i zawodnicy Dumy Katalonii fantastycznym zachowaniem jednoznacznie potwierdzili, że dla nich polski napastnik jest ikoną odrodzenia klubu. Przecież kiedy przychodził w 2022 roku, media w kontekście Blaugrana donosiły głównie o kłopotach finansowych, a tytuły mistrzowskie w okresie poprzedzającym ten transfer rozdzielały między sobą zespoły z Madrytu - Real i Atletico.

Niemal 34-letni gracz kosztował 45 milionów euro, co zważywszy na wiek i możliwości Barcy było kwotą niebagatelną, ale spłacił się szybko. I to nawet z nadatkiem. Z Lewandowskim w składzie Katalończycy trzykrotnie wygrali rozgrywkę La Ligi, trzykrotnie Superpuchar (w Hiszpanii rozgrywany w formie wyjazdowego miniturnieju, w Arabii Saudyjskiej), raz Puchar Króla. W 192 rozegranych spotkaniach - na wszystkich frontach, również w europejskich pucharach - Robert strzelił 119 goli. Do tego dorzucił Trofeo Pichichi dla króla strzelców ligi hiszpańskiej - i to już w premierowym sezonie. Doprowadził też Barcelonę do półfinału Ligi Mistrzów. W sytuacji, gdy

znaczna część jego rówieśników już tylko bawiła się w piłkę, on inkasował najwyższą w swojej karierze - i w aktualnym zespole - pensję (według „Forbesa” to 33 mln euro rocznie).

Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść

Nowego, znacznie zredukowanego, kontraktu Robert na Cam Nou już nie chciał. I słusznie, skorzystał z przywileju największych gwiazd, by odejść na własnych warunkach. Także po to, aby zostać zapamiętanym z najlepszych chwil, z najbardziej udanych zagrań, z trofeów. Pewnie, miał w Barcelonie różne momenty, także te gorsze, a nawet słabe, w pewnym momencie musiał zrestartować cały swój system, aby odbudować się pod względem fizycznym, ale jednak tych dobrych, lepszych, a nawet najlepszych momentów było więcej. Znaczenie więcej.

Trafnie decyzję Lewandowskiego o zejściu z hiszpańskiej sceny niepokonanym skomentował znany menedżer sportowy, były właściciel Widzewa Łódź i były prezes Lecha, organizator walk braci Kliczków i Dariusza Michalczewskiego, Andrzej Grajewski: - Bardzo dobrze, że Robert ogłosił rozstanie z Barceloną, czas już na to najwyższy. Lewandowski to jest po Włodku Lubańskim drugi z największych piłkarzy, jakich mieliśmy w Polsce. Robert był świetnym ambasadorem nie tylko naszego futbolu, ale i kraju. Z naciskiem na słowo: był. Ka-

riera w sporcie zawodowym trwa od punktu A do Z, a później trzeba już odpuścić. Zawsze powtarzałem, że jeżeli bokser traci dżep, to natychmiast powinien się wycofać, bo mogą go zabić w ringu. Analogicznie - jeżeli piłkarz traci szybkość, powinien iść piętro, dwa, albo nawet trzy niżej. Jeżeli ma uciechę z grania, niech sobie dalej kopie i pokazuje swoje umiejętności, które na pewno posiada, ale już nie w Barcelonie. To był zbyt wielki zawodnik, żeby prosić się o grę nawet w Dumie Katalonii. Niech na koniec pobawi się w futbol - daj Boże, żeby za tak wielkie pieniądze, o jakich czytam - ale niech też pamięta o szacunku dla własnych dokonań na najwyższym poziomie. Bo to już przeszłość. Teraz wszyscy powinniśmy życzyć Robertowi przede wszystkim zdrowia. Oby jak najdłużej pozwalało Lewandowskiemu na czerpanie przyjemności z gry w piłkę.

Mamy Arrubarrenę, po co nam Lewandowski

Prawda jest taka, że cała dotychczasowa i - jak wszystko wskazuje - właśnie kończąca się

**JĘŚLI KTOŚ TWIERDZI,
ŻE PRZEWIDZIAŁ TAKIE
SPLENDORY DLA ROBERTA
- JEDYNIE SIĘ CHWALI.
ALBO ZWYCZAJNIE KŁAMIE**

na tym najwyższym światowym poziomie kariera Roberta była nawet nie jak z bajki, bo była po prostu nie do przewidzenia. Mamy przecież do czynienia z piłkarzem - jak to się fachowo od kilku lat określa w nomenklaturze szkoleniowej - późno dojrzewającym. Po zmianie w przepisach (wcześniej w poszczególnych kategoriach wiekowych obowiązywał podział na urodzonych „do lipca”, a zawodnicy z drugiej połowy roku trafiali już do młodszej drużyny) na rzecz pełnych roczników, chłopiec, który na świat przyszedł w drugiej połowie sierpnia, nie miał łatwego życia. Na wstępnych etapach piłkarskiego wtajemniczenia ustępował rówieśnikom wzrostem, siłą - generalnie pod względem fizycznym. W efekcie nigdy nie przebił się nie tylko do juniorskiej reprezentacji Polski, ale nawet do reprezentacji Mazowsza. A kiedy już trafił do II zespołu Legii, po roku z niego wypadł. Dziś chętnie szydzimy z ówczesnego dyrektora sportowego stołecznego klubu, Mirosława Trzeciaka, który w 2008 roku „błysnął” stwierdzeniem: „Niepotrzebny nam Lewandowski,

będziemy mieć Arrubarrenę”, ale - po prawdzie - nawet jako król strzelców II ligi (dziś ta klasa rozgrywkowa nosi nazwę 1. liga) w ogólnym odbiorze nie rokował na najlepszego polskiego piłkarza w historii i najlepszego środkowego napastnika pierwszego ćwierćwiecza na świecie, którym został. Jeśli ktoś twierdzi, że przewidział takie splendory dla Roberta - jedynie się chwali. Albo zwyczajnie kłamie.

W życiu trzeba mieć szczęście

Owszem, jako król strzelców III ligi (dziś to liga 2.) i następnie II ligi (dziś to liga 1.) w barwach Znicza Pruszków - mając niemal 60 goli w dorobku w tych dwóch klasach - Lewandowski miał już inne notowania niż napastnik, który w Legii II rozegrał 13 meczów i zdobył 2 gole na peryferiach poważnego futbolu. Tyle że kolejki po zakontraktowanie środkowego napastnika Znicza wcale się nie ustawiały. Owszem, bardzo chciał go pozyskać zarządzający wtedy Jagiellonią Cezary Kulesza, dobrymi pieniędzmi kusiła też Cracovia, ale wtedy nie były to kluby z elity.

Lech - po fuzji z Amiką Wronki - do którego ostatecznie trafił Robert - także nie miał ugruntowanej pozycji na krajowym rynku, tak naprawdę Kolejorz dopiero odbudowywał renomę po kwarantannie na zapleczu ekstraklasy i finansowych perturbacjach. A jednak Poznań - choć wcale nie był oczywisty - okazał się najlep-

szym z możliwych wyborów. Nieostatni raz w karierze Roberta. O ile bowiem początek miał on trudny, a potem dał się poznać jako megazawodowiec, który na formę i sportową długowieczność zapracował ciężką pracą i wzorowym prowadzeniem się, w życiu miał mnóstwo szczęścia. A to czynnik nieodczony dla udanej kariery. I niezwykle istotny.

Z perspektywy czasu za fartowny można uznać nawet fakt, że Lewandowski odbił się od Legii, bo w tamtym czasie zespół z Łazienkowskiej - owszem solidny - bardziej kojarzył się z „imprezowiczami” niż z promocją wiodących reprezentantów Polski. Pewnie (lekką) przesadą byłoby stwierdzenie, że Warszawa psuła wtedy utalentowanych zawodników, ale na pewno nie gwarantowała takiego postępu, jaki Robert zrobił w Poznaniu.

Stanowcze nie dla Szachara, Guangzhou czy PSG

Lewandowski miał to - podwójne - szczęście, że jego agentem został Cezary Kucharzski, którego zawsze (to jest od czasów piłkarskich „Kucharza”) sentymentem darzył Franciszek Smuda, ówczesny trener Lecha. Sp. „Franz” może i był naturyszczykiem, ale panów piłkarzy rozpoznawał bez pudła, już po tym - jak się chwalił - jak wchodzi po schodach. I Smuda rzeczywiście zobaczył to coś u Lewandowskiego - a potem bardzo umiejętnie, stopniowo, wprowadzał do zespołu.

A Kucharski - w przeciwieństwie do większości ówczesnych (choć dziś rynek niewiele się różni) menedżerów był mądry, ustawiony po karierze piłkarskiej i nie gonił za kasą. Kierował się instynktem, i sportowym rozwojem prowadzonego zawodnika; pieniądze były na drugim planie przy wyborze kolejnych pracodawców.

Dlatego z Lecha Lewandowski trafił do Borussia Dortmund, a nie np. Szachatara Donieck, choć Lech mógłby zarobić co najmniej 30 procent więcej w roku 2010 na sprzedaży króla strzelców i mistrza Polski w jednej osobie na Ukrainę. A co za tym idzie - prowizja agenta także mogłaby być co najmniej jedną trzecią wyższa. Także później ani piłkarz, ani agent nie oglądali się na jakieś kosmiczne pieniądze, które proponowały kluby z Premier League, czy chińskie Guangzhou Evergrande (30 mln euro netto w 2016 roku leżało na stole), tylko spokojnie budowali pozycję i karierę w Niemczech. Zresztą, przechodząc do Barcelony Lewy miał lepszą ofertę (opiewającą na 35 mln rocznie) z PSG, ale wolał magię Dumy Katalonii niż (nieco) wyższy kontrakt w stolicy Francji.

„Supertalentem to jest Kagawa, nie Robert”

Początek w futbolu przy dużej F - w Dortmundzie - Robert miał w sumie niezły, ale do zachwyty było daleko. Bo na tamtym etapie nasz genialny (jak się później okazało) rodak - delikatnie określając - nie był mistrzem pierwszego wrażenia. Dość powiedzieć, że po kilku miesiącach, Roman Kołtoń - komentator Bundesligi stwierdził w jednym z programów, że „Kagawa supertalentem jest, a Lewandowski po prostu nie” - co złośliwcy chętnie przypominają dziennikarzowi do dziś.

Prawda była jednak taka, że RL9 w Dortmundzie dopiero nabierał rozpędu. I dopiero tam - ale wcale nie od razu - zorientował się, jaki rzeczywistość ma potencjał i uwierzył w siebie. Tyle że to też był proces - w 2011 roku dożył (tylko) 8 goli do tytułu mistrza Niemiec dla Borussia, w 2012 był już autorem spektakularnego hat-tricka strzelonego Bayernowi w finale Pucharu Niemiec, w 2013 - niejako zadając kłam ocenie jednego z najbardziej opiniotwórczych dziennikarzy, że „jest najlepszym polskim piłkarzem, ale nigdy nie będzie topowym na świecie” zapakował czteropak Realowi Madryt w półfinale Ligi Mistrzów. W 2014 roku odchodził do Bayernu jako król strzelców Bundesligi i najlepiej opłacany piłkarz w historii Borussia.

To - wbrew pozorom - ważny wątek, bo o ile Robert miał swój charakter, o tyle w bardzo dużym stopniu ten piłkarski charakter pomógł mu zbudować menedżer Kucharski, którego rola w rozwoju Lewandowskiego jest dziś niesłusznie (za-



Przyszedł jako gwiazda, odchodzi jako legenda - napisano w mediach społecznościowych FC Barcelona. Trzeba przyznać, że pożegnanie było królewskie. Znacznie bardziej emocjonalne niż choćby pożegnanie w Monachium

pewne także na skutek sporu sądowego, który piłkarz z menedżerem toczą po zakończeniu współpracy) pomniejszana, czy wręcz pomijana.

Wcale nie taki miły był ten chłopak

Po raz pierwszy rozmawiałem z Lewym w 2008 roku, gdy został królem strzelców II ligi - uznałem, że to wystarczająca przepustka, żeby niespełna 20-letni młokos trafił na... trzecią okładkę brązowego miesięcznika „Piłka Nożna Plus”; zaczął od wypełnienia modnej wówczas ankiety personalnej. Robert bardzo grzecznie opowiedział, że jego ulubionym klubem jest Real Madryt, że stara się wzorować na Thierryem Henrym, jakiej muzyki słucha i do zakupu jakiego auta się przymierza.

Pierwsze wrażenie było więc takie, że to miły i ogarnięty chłopak, który wie czego chce od życia. Tym bardziej jednak sprawił mi w zdziwienie, a nawet lekkie osłupienie, kiedy dwa dni później zadzwonił z awanturą i grubym słowem, dlaczego opublikowałem „kwiatki”, o których wcale nie mówił. Był zaskoczony, że choć rozmawiał tylko ze mną - a ja nie zdążyłem jeszcze opublikować tekstu z uwagi na cykl produkcyjny miesięcznika - ktoś inny opublikował zmyślony wywiad z nim.

W sumie, szybko wyjaśniliśmy sobie nieporozumienie, i zakończyliśmy rozmowę telefoniczną ze śmiechem, ale miałem dowód, że ten chłopak - gdy trzeba walczyć o swoje - wcale taki miły nie jest. Przeciwnie, jest charakterny i to bardzo.

Dlatego Kucharski - swoją drogą też wyjątkowo charakterny - nie miał problemu, aby ułożyć Roberta na tamtym etapie na własną modłę. Choćby nakłonić Roberta do kolegowania się w Dortmundzie przede wszystkim z niemieckimi piłkarzami (a nie dwójką reprezentantów Polski). Bo to miało pomóc w szybszej nauce języka i aklimatyzacji w zagranicznej szatni. A po jakimś czasie obaj doszli do wniosku, że skoro Lewandowski zaczynał z najniższego płacowego pułapu w BVB, to po gigantycznym skoku jakościowym, którego dokonał w Borussia, zażądają najwyższej pensji w historii klubu. I oczywiście - dopięli swego!

Historia „królewskich” rozmów z „9” w tle

Robert odszedł z BVB na swoich warunkach - bez sumy odstępnego - ale jako posiadacz rekordowego na tamte czasy, wynoszącego 7 milionów euro kontraktu. W Bayernie na dzień dobry dostał 15 milionów, ale bardzo szybko zobligował swoich mene-

dżerów, żeby podbili stawkę do najwyższej w monachijskim klubie. Igdy odchodził - progresywna umowa gwarantowała mu już 22 miliony euro za rok. A były jeszcze bonusy, za tytuł króla strzelców (podejmowane) i (niepodjęty) za Złotą Piłkę. Dlaczego warto teraz o tym przypomnieć? Otóż Lewandowski, kiedy już odkrył swoją wartość, potrafił się cenić, ale - co jest istotne - nie przeceniał; dyktował warunki, które były spełniane.

Wiele osób, i to nie tylko wywodzących się z grona polskich kibiców Realu Madryt, zastanawia się, dlaczego Robert - nie kryjąc się z sympatiami do Królewskich - nigdy nie trafił na Santiago Bernabeu, nawet w sytuacji, gdy gigant z hiszpańskiej stolicy także był zainteresowany polskim goleadorem.

Otóż prawda jest banalna - chcąc sprawdzić, jaką rolę szykują w Madrycie dla Lewego, agent Kucharski zażądał koszulki z „9” dla swojego zawodnika. A kiedy nie dostał oczekiwanego numeru - już wiedział, że Robert nie będzie tam pierwszym wyborem i nie ma sensu kontynuować rozmów.

Rekordy zostaną niepobite. Można przyjmować zakłady

Lewandowski zrobił oszałamiającą karierę - zarówno w wy-

miarze sportowym, jak i finansowym. Przed nim, żaden z polskich piłkarzy nawet nie zbliżył się do takiego poziomu. Po nim - będziemy jako kibice czekać zapewne kilka generacji na kolejnego giganta, choćby zbliżonego pokroju.

Pewnie, można podsumować karierę Roberta wspominając Złotą Piłkę, z której został okradziony w roku pandemicznym, można też podkreślać niedosyt wynikający z dokonania reprezentacji Polski w czasach jego gry i kapitańskiej kadencji; po prawdzie cały dorobek w tym segmencie zamknie się na jednym ćwierćfinale Euro i na jednym awansie do 1/8 finału na mundialu. I to oczywiście skaza na CV tak wielkiego piłkarza. Tyle że - nawet taki geniusz jak RL9 sam meczu nie wygra. A jego indywidualne rekordy - 89 goli w 169 meczach - długo, przez dekady, a można pewnie przyjmować zakłady, że do końca obecnego stulecia, pozostaną niepobite.

Gracies, Robert!

Biorąc pod uwagę bardzo dyskretny punkt wyjścia, Lewandowski wyciągnął z klubowej kariery absolutnego maksa. Co zapamiętamy w pierwszej kolejności? Na pewno 5 goli w 9 minut Wolfsburgowi, bo to wyczyn, który zapewnił Robertowi

trwałe miejsce w historii światowego futbolu.

Podobnie jak 41 bramek w sezonie Bundesligi i odebranie - galaktycznego - jak się wydawało rekordowi Gerdowi Muellerowi. Do tego 14 tytułów mistrza kraju (1 w Polsce, 10 w Niemczech, 3 w Hiszpanii), 12 tytułów króla strzelców (III liga, II liga, ekstraklasa w Polsce, 7 w Bundeslidze, 1 w Hiszpanii, 1 w Lidze Mistrzów), 2 tytuły Piłkarza Roku FIFA, 13 tytułów Piłkarza Roku w Polsce, 2. miejsce w plebiscycie Złotej Piłki...

Przed wszystkim jednak piękne pożegnanie na Camp Nou, pełne - momentami nabożnego - respektu ze strony klubowych kolegów z kultowej Barcelony, którego w sumie też, jak większości sportowych dokonań RL9, nikt się nie spodziewał...

„I taka właśnie jest ta kariera Lewandowskiego. Ciągłe pożegnanie, jak i całą karierę naszego najlepszego piłkarza w historii Mateusz Świąćcki, komentator Eleven Sport, który najczęściej komentował mecze Barcelony z Lewandowskim w składzie...

JUŻ NIE PA, PA, POLSKO, ALE PA, PA, ANGLIO. NASI ZAMIENIAJĄ HELLO NA DZIEŃ DOBRY

Bydgoszczanin poleciał ponad 20 lat temu do Anglii w koszulce z napisem „Ostatni gasi światło” – w Polsce z ponad 15-procentowym bezrobociem. A dziś? Emigranci wracają z dziećmi, które Polskę znają tylko z wakacji raz w roku. Tęsknili, żeby być u siebie, wśród swoich

Agnieszka Domka-Rybka

W marcu 2006 r. po raz pierwszy wsiadłam na pokład Ryanaira z Bydgoszczy do Wielkiej Brytanii. Wtedy nie latał jeszcze samolot do Dublina, gdzie do dziś mieszka moja koleżanka, więc miałam przesiadkę na lotnisku Londyn Stansted. Dlaczego w ogóle o tym wspominać? Bo nie zapomnę chłopaka obok mnie na fotelu, który przeżył muskuły w koszulce z napisem: „Ostatni gasi światło”. Król życia mówiący: „Pa, pa, Polsko”...

Wymowne, bo wtedy bezrobocie w naszym kraju sięgało ponad 15 proc. Trudno się dziwić, że szczytowy okres migracji zarobkowej przypadł właśnie na lata 2006-2007, kiedy to w Anglii mieszkało i pracowało ponad milion naszych rodaków.

„Bałem się powrotu, ale to była słuszna decyzja”

Obecny trend jest odwrotny. Dziś Polacy opuszczają United Kingdom. Z najnowszych danych GUS wynika, że w ostatnich latach z Wielkiej Brytanii wróciło do Polski ponad 130 tys. rodaków. Po latach żegnają też Irlandię, Holandię, Niemcy, Skandynawię czy nawet USA i Australię. Emigracja zweryfikowała ich marzenia o rajach za granicą?

Ostatnie dane regionalne GUS, dotyczące powrotów do Kujawsko-Pomorskiego, są z 2024 r., kiedy wróciło tu 699 osób, głównie z Anglii, Niemiec, Holandii i Irlandii. Wyjechało mniej, bo 461.

W mediach społecznościowych powstaje coraz więcej tzw. grup wsparcia dla powracających do Polski. Łatwo nie jest, bo tutaj żyjemy teraz w innym świecie niż ten, z którym się przed laty pożegnali. Najgorzej podjąć taką decyzję, gdy za granicą urodziły się dzieci, chodzą tam do szkoły, czy też mieszanym małżeństwem. Jednak i takie rodziny decydują się na powrót.

Znają świetnie język angielski, ale czy to dziś wystarczy, żeby w Polsce dostać dobrą pracę, gdy wiele osób tutaj też zna języki? Niektórzy wracają ze zwierzętami.



Wielka Brytania była głównym celem polskiej emigracji zarobkowej po wejściu Polski do UE, gromadząc ponad milion Polaków. Obecnie trend się odwrócił

O co pytają nasi emigranci? Od dłuższego czasu obserwuję grupę „Powrót z emigracji do Polski”, skąd podzielić się kilkoma spostrzeżeniami.

Pani Anna: „Mam 49 lat. Planuję powrót z UK po ponad 20 latach, mam 3 angielskie dyplomy (Bsc Psychologia, mgr odżywiania i mgr dietetyki), czy mam w Polsce szanse na znalezienie pracy, niekoniecznie w zawodzie?”

Pani Joanna: „Ja mam dwa kierunki studiów i dyplomy z Food Technology z Australii. Niestety, w Polsce nie mogę znaleźć pracy w zawodzie, w ogóle nie akceptują moich studiów i praktyki zdobytej w Australii i UK. Prowadzę działalność, ale zupełnie nie jest związana z zawodem. I też mi pięćdziesiątka stuknęła”.

Pani Ewa: „Po 15 latach chciałam wrócić do kraju. Mam partnera Brytyjczyka, chcemy wziąć ślub w Polsce zaraz po przyjeździe. Nie wiem, od czego zacząć, żeby ogarnąć mu pobyt na stałe. Mamy dwójkę dzieci z podwójnym obywatelstwem”.

Pani Magda: „To była najgorsza moja decyzja w życiu, że przed laty wyjechałam do Anglii, ale tutaj urodziłam dzieci. Synek ma dwa latka, a córka kończy szkołę. Czekamy na wakacje, Zuzia na studia pojedzie już w Polskę. Nie mogę się docze-

kać. Mam tak dość drożyzny, deszczu i wykładzin śmierdzących wilgocią w wynajmowanym 100-letnim domu. Mam nawet dość podwójnego kranu”.

Pan Tomasz: „Od ponad 20 lat przebywam na obczyźnie, Polskę odwiedzam z reguły na kilka tygodni w roku. Jakies 10 lat temu zacząłem zastanawiać się nad powrotem i do dzisiaj pozostaje to raczej, niestety, marzeniem ściętej głowy. Odkąd pojawiła się myśl o powrocie, mam wrażenie, że w Polsce jest z roku na rok coraz gorzej. Mam na myśli aspekt finansowy - ceny i zarobki. Wiadomo, „morza szum, ptaków śpiew, złota plaża pośród drzew” i tym podobne klimaty to jest to, za czym wszyscy tęsknimy. Czytając Wasze posty, zazdrościć ludziom, którym udało się powroty. U mnie zanoszę, niestety, takie szczęście dopiero na emeryturze. Ale poczekam, warto. Pozdrawiam”.

Pani Wioletta: „Mam 13-letnią córkę i 14-letniego syna, którzy nie chcą wracać. Twierdzą, że dla nich nasz powrót, rodziców, to dla nich emigracja do kraju, który znają tylko z wakacji raz w roku. Chyba poczekamy z mężem jeszcze z 10 lat i wrócimy, jak dzieci się usamodzielnia. Jednak chciałabym poznać opinie osób, które wyjeżdżają mimo sprzeciwu dzieci. Jak one sobie poradziły

w Polsce? Może sobie nie poradziły i wróciliście z powrotem? Co ich przekonało do Polski? Nadmienię, że oboje płynnie mówią po polsku, ale nie piszą i nie czytają w tym w języku”.

Pan Rafał: „8 miesięcy temu wróciłem do Polski z UK po 13 latach. Mam 35 lat, jestem singlem, ze średnim wykształceniem technicznym. Odłożyłem za granicą wystarczająco na wkład własny do kredytu hipotecznego na średniej wielkości mieszkanie. Z UK przywiozłem też ze sobą motocykl. Certyfikat kompetencji z tego, czym się zajmuję oraz bardzo dobrą znajomość języka angielskiego wystarczyły, żeby znaleźć w Polsce dobrze płatną pracę w IT na podobnym stanowisku, które piastowałem przez ostatnie 3 lata w Anglii - Service Now Administrator. Pracuję z domu 99 procent czasu. Jestem zatrudniony na umowie o pracę, która właśnie została przedłużona na czas nieokreślony, więc wkrótce zamierzam wziąć kredyt hipoteczny i iść na swoje. Chociaż biurokracja w Polsce jest nadal dosyć dużym problemem, to w urzędach spotykam uprzejmych, rzetelnych ludzi, którzy chcą pomóc. Ani razu przez tych 8 miesięcy nie spojrzałem wstecz z żalem. Bałem się powrotu, ale okazał się słuszną decyzją. Jasne, tęsknię za pewnymi miejscami i osobami w UK, ale nie za życiem tam. W Polsce jest bezpiecznie,



Polacy wyjechali do Irlandii głównie po 2004 r., po wejściu Polski do UE, tworząc tam największą mniejszość narodową

czyściej, spokojniej. Przede wszystkim jestem u siebie, wśród swoich. A samoloty nie przestały latać. Zawsze mogę polecieć odwiedzić starych znajomych i miejsca, za którymi tęsknię”.

Mają rodzinę w Polsce, ale przyjadą za granicą

Według Tomasza Marcysiaka, socjologa, profesora a Uniwersytetu WSB Merito w Toruniu, dla części emigrantów Polska istnieje w pamięci z lat 90., początku UE, biedniejsza, wspólnotowa, bardziej przewidywalna kulturowo: - Tymczasem wracają do kraju bardziej indywidualistycznego, cyfrowego, droższego, mniej religijnego niż kiedyś, więcej spolaryzowanego politycznie i przede wszystkim z innym rynkiem pracy i stylem życia. Można to nazwać „odwróconym szokiem kulturowym”, ponieważ powrót bywa trudniejszy niż emigracja. Dla osób wyjeżdżających w wieku 20-30 lat Polska pozostaje ojczyzną. Dla ich dzieci, urodzonych w Anglii, Irlandii czy Holandii, ojczyzna bywa bardziej skomplikowana. Nadal mają polskie nazwisko, ale myślą po angielsku. Mają rodzinę w Polsce, ale przyjadą za granicą. Jeżeli nastolatek wraca do polskiej szkoły po latach w innym systemie edukacyjnym, to ma często ogromny stres, co może być ważniejszym czynnikiem procesu reemigracji niż zarobki rodziców.

Stąd szukanie wsparcia instytucjonalnego w grupach pomocowych w mediach społecznościowych - komentuje prof. Marcysiak. Mówi, że pewnym sensie takie nieformalne grupy są bardziej pomocne w adaptacji niż rodzina czy lokalna społeczność. Według danych GUS, około 1,5 mln Polaków nadal przebywa za granicą czasowo. W 2024 r. do Polski na stałe wróciło ok. 19,5 tys. osób, co było wzrostem o około 30 proc. względem roku wcześniejszego: - Choć jest to zauważalny trend, nie oznacza jeszcze masowego exodusu. Warto zauważyć, że na przykład w przypadku Niemiec pierwszy raz od ponad 25 lat wraca więcej osób, niż wyjeżdża. Niestety, nie ma jeszcze dokładnych danych o dzieciach migrantów, małżeństwach mieszanym czy trwałości powrotów. Tu widzę raczej miejsce dla badań. Sądzę, że nowy uczeń w szkole nie jest już dziś takim egzotycznym wydarzeniem, a to za sprawą dzieci z Ukrainy, które już od kilku lat z powodzeniem asymilują się z polskimi rówieśnikami. To, kto zostanie na dłużej lub na stałe, jest pytaniem otwartym. I pewnie dopiero za kilka lat będziemy mogli powiedzieć więcej o skuteczności organizowania się w nieformalne grupy na portalach społecznościowych i rzeczywistym efekcie reemigracji - podsumowuje socjolog. ©

Obecnie odzyskane fragmenty skarbu średniego znajdują się w muzeach we Wrocławiu i Środzie Śląskiej. To gotycka korona ślubna, złote pierścienie, inne elementy średniowiecznej biżuterii, a także prawie 8 tys. monet. Wszystko warte przynajmniej ćwierć mld zł.

Odkrycie pierwsze

8 czerwca 1985 r. robotnicy robiący wykop pod fundamenty centrali telefonicznej przy wielkiej ul. Daszyńskiego natrafili na kilka glinianych dzbanów wypełnionych złotymi i srebrnymi monetami. Znajdowało się w nim 3771 srebrnych krążków pochodzących z I poł. XIV w.: grosze praskie i miśnieńskie.

Odkrycie było sensacyjne, ale nie nadano mu rozgłosu. Znalezisko zabezpieczyli funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i trafiło później do Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu. Nie podjęto wówczas także żadnych prac badawczych w miejscu dokonania znaleziska, a przy Daszyńskiego kontynuowano dalsze prace budowlane.

Zajęto się też tymi, którzy część monet rozkradli. „Ponieważ – zgodnie z obowiązującym prawem – wszystko, co leży w ziemi, jest własnością Skarbu Państwa, postanowiono odzyskać złoty złom od osób, o których wiadano, że byli »szczęśliwymi znalazcami«” – pisał w 1997 r. historyk sztuki Michał Gradowski, jeden z pierwszych, który oglądał i szacował znaleziska. „W dniu 28 czerwca i paru następnym organa MO dokonały licznych przeszukań, odzyskując kilka fragmentów złotych wyrobów i sporo monet. Sprawy nieuczciwych znalazców skierowano do prokuratury we Wrocławiu” – dodawał.

Tłum żądny złota

Minęły trzy lata i sprawa uciichała. Po raz drugi na skarb średzki natrafiono 24 maja 1988 r., tym razem podczas rozbiórki kamienicy stojącej przy Daszyńskiego 14. Nowe odkrycie, znacznie większe od poprzedniego, stało się szybko lokalną sensacją, która ściągnęła na miejsce znaleziska rzeszę przypadkowych osób poszukujących srebra i złota.

„Znalezisko było na tyle ciekawe, że oczywiście odkrywcy i przypadkowi gapie skrzętnie wybierali monety, ale nikt nie zadał sobie trudu by pobiec za wywrotką na wysypisko, gdzie niebawem spychacz rozgarnął kolejny pagórek gruzu, a z nim górną część glinianego garmka wraz z zawartością – relacjonował Gradowski

Z ruin piwnic domu, zanim zareagowały odpowiednio władze, wyniesiono znaczną część monet i biżuterii. Z czasem pojawiła się także informacja, z której wynikało to, że precjoza pochodzące ze skarbu średzkiego można znaleźć na wysypisku



W muzeach we Wrocławiu i Środzie Śląskiej znajdują się odzyskane fragmenty znaleziska: prawie 8000 monet, gotycka korona ślubna, złote pierścienie i inne elementy j biżuterii. Wszystko jest warte ok. 250 mln złotych

OPOWIEŚĆ O „SKARBIE TYSIĄCLECIA” ZE ŚRODY ŚLĄSKIEJ

Skarb w Środzie Śląskiej odkrywano niejako dwa razy,
a towarzyszące temu okoliczności nadają się co najmniej
na film sensacyjny

Mariusz Grabowski

gruzu zlokalizowanym na terenie Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Tam także pojawiły się hordy poszukiwaczy, często agresywne, którzy przeszukiwali hałdy gruzu w nadziei znalezienia czegoś drogiego.

Ile to warte?

25 lipca zgromadzone w wyniku dotychczasowych działań przedmioty mogli obejrzeć wezwani biegli, a wśród nich cytowany tu Michał Gradowski. Po ich oględzinach nie było już żadnych wątpliwości: fragmenty korony, zausznica, pasek złotej blachy i kilka dodatkowych drobniaków, okazały się obiektami o ogromnej rzadkości i olbrzymiej wartości historycznej i artystycznej. Prócz tego parę tysięcy monet. Całość została wstępnie datowana na XIII w.

Momentalnie powstał czarny rynek: srebrny grosz praski można było nabyć już za kilka niemieckich czekolad oraz paczkę dobrej kawy, a za garść srebrnych monet dwa kufle piwa prosto z beczki. Ludzie wymykali się nocami z domów, żeby kopać. Do znalazców docierali

antykwarusze pytający po okolicy o precjoza i monety.

Szybko uruchomiono maszynę administracyjną mającą na celu odzyskanie całości skarbu. Nielegalnym znalazcom zaproponowano odkupienie za 3-krotność wartości, to jednak nie przekonało wszystkich. Niezdecydowani nie spodziewali się, że będą musieli się liczyć z konsekwencjami, bo żarty naprawdę się skończyły. Zaczęto ich śledzić i ścigać, włączając w to prokuraturę.

Milicja rewiduje

Akcję odzyskiwania fragmentu skarbu nazwano błyskotliwym kryptonimem „Korona”. W jej wyniku ostatecznie udało się odzyskać wiele bezcennych znalezisk, w tym kolejne fragmenty korony, zausznice, sygnet i przede wszystkim kolistą zaponę, która obok korony jest główną ozdobą skarbu.

Do Środy Śląskiej zostali skierowani młodzi milicjanci, którzy zajęli się przesiewaniem ziemi. W nocy wysypiska pilnował wartownik, ale kiedy rano wychodził, amatorzy wykorzysty-

wali ten czas, żeby kopać dalej. Nikt nie kontrolował tego, co znikało i gdzie.

Prokuratura wystawiła ponad pięćdziesiąt nakazów rewizji. W ten sposób w średzkiej mieszkaniach znaleziono kilkadziesiąt monet i fragmenty biżuterii. Posiadacze tłumaczyli się rozmaicie, niektórzy zasłaniaли się niewiedzą. Ale nikt nie przyznał się, że cokolwiek już zdążył sprzedać albo gdzieś wywieźć.

Bezcenny „złoty złom”

Gradowski wspominał: „21 lipca powołano nas jako biegłych i w 4 dni potem mogliśmy obejrzeć »złoty złom« zgromadzony we wrocławskiej prokuraturze. Były to fragmenty korony, zausznica, pasek złotej blachy, skromny pierścionek i kilka drobniaków. Mimo luźno rozrzuconych elementów uznaliśmy niezwłocznie, że mamy tu do czynienia z koroną o powtarzalnych segmentach – obiektem ogromnej rzadkości oraz wielkiej rangi historycznej i artystycznej. Zausznica wśród znanych mi z literatury wielu obiektów tego typu (kilka lat pracowałem

w warszawskim Muzeum Archeologicznym) wyróżniała się ozdobnością i bogactwem. Całość znaleziska wstępnie datowałem na wiek XIII z możliwością wejścia w sąsiednie stulecia. W protokole odnotowano także, że znalezisko zostało uznane za zespół pierwszorzędnej wartości”.

Dodajmy, że elementy skarbu znajdowały się w różnym stanie. Jakość kruszcu, z jakiego wykonano biżuterię, powodowała, że ich powierzchnie zewnętrzne zachowały się doskonale. Najgorsze były uszkodzenia mechaniczne, jakich poszczególne elementy skarbu doznały, jak należy przypuszczać, w trakcie wykopywania ich koparką z ziemi oraz na wysypisku.

Kto był właścicielem skarbu?

Badacze dość szybko zidentyfikowali historię skarbu. Został prawdopodobnie ukryty w połowie XIV w., czyli w okresie, w którym miasta Śląska nawiedziła epidemia dżumy. Według badań przeprowadzonych przez historyków zajmujących się jego

pochodzeniem był prawdopodobnie własnością bogatego bankiera żydowskiego Mojżesza, który w 1348 r. dokonał we Wrocławiu korzystnej dla siebie transakcji pożyczkowej, w wyniku której król Czech Karol IV Luksemburski zastawił u niego znaczną część swoich kosztowności w zamian za wsparcie finansowe starań o koronę cesarską. Podczas czarnej śmierci tenże Mojżesz w obawie przed prześladowaniami opuścił Środę Śląską i nigdy do niej nie powrócił. Nie odzyskał też skarbu, który zakopał w piwnicach swojego domu.

Ale są i inne teorie. Np. taka, że stanowiły one rezerwę skarbcza Karola IV zastawioną lub sprzedaną za pośrednictwem Jana ze Środy Żydom średzkim, a następnie ukrytą przez nich w czasie pogromu.

Zacytujmy Rainera Sachsa, historyka sztuki, autora „Leksykonu Artystów i Twórców Rzemiosła Artystycznego Śląska”: „Szczęśliwym trafem zachowały się przekazy pisane. (...) Mówią one, że 3.09.1348 r. król czeski Karol IV Luksemburski upoważnia: Jana, proboszcza kaplicy Wszystkich Świętych na Hradczanach, głogowskiego scholastyka Henryka, Petrusa de Luna i swego marszałka dworu Hubardusa Altari do poprowadzenia negocjacji w sprawie dużej pożyczki. 28.10 tegoż roku został wystawiony we Wrocławiu dokument zapewniający Żydowi Muscho ze Środy Śląskiej trzyletnie prawo do pobytu na Śląsku i zwolnienie z podatku żydowskiego za pożyczanie władcy większej sumy pieniędzy. Warto podkreślić, że pod postacią proboszcza Jana ukrywał się nikt inny, tylko późniejszy kanclerz cesarstwa Jan ze Środy Śląskiej”.

Dziś skarb jest skrupulatnie i opisany, i skatalogowany, choć wciąż trafiają doń sporadycznie odzyskiwane artefakty (np. trzy fragmenty odnaleziono w 2005 r.). Najcenniejsza jest złota gotycka korona kobieca prawdopodobnie należąca do żony cesarza Karola IV Luksemburskiego, Blanki de Valois – wykonana w warsztacie sycylijskich mistrzów złotnictwa. Wysadzana jest bogato szlachetnymi kamieniami. Prawdopodobnie jej ostatnią właścicielką była Blanka de Valois, pierwsza żona Karola IV, zmarła w 1348 r., a więc niedługo przed domniemanym czasem ukrycia i utraty skarbu. Bezczenna jest także kolistą zaponą z kameją z chalcedonu w postaci orła, ozdobiona szlifowanymi kamieniami szlachetnymi, a także dwie pary złotych zawieszek: jedna pochodząca z XII w., druga o stulecie młodsza. Do tego dochodzą złote taśmy, pierścienie, bransolety i monety. To w większości srebrne grosze praskie wybite w czasie panowania Wacława II i Karola IV Luksemburskiego, ale także złote floreny, dukat, halerz i grosze miśnieńskie z czasów Fryderyka II Powaźnego.

FOT. PAVEL RELKOWSKI

ZWIĄZKI JEDNOPŁCIOWE. KWESTIA GODNOŚCI I PRAW CZŁOWIEKA

Transkrypcja aktu małżeństwa to szansa na normalność dla par jednopłciowych, które związek małżeński zawarły za granicą. Prawda jest jednak taka, że w Polsce małżeństwa jednopłciowe i związki partnerskie wciąż nie mają zbyt wielu praw. Uznanie ślubu zawartego za granicą tego faktu nie zmienia

Dorota Kowalska

To był dla nich wyjątkowy dzień. W poniedziałek, 18 maja, w Urzędzie Stanu Cywilnego we Wrocławiu pierwsza para gejów w tym mieście dokonała transkrypcji aktu małżeństwa. Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski są razem od 50 lat. Ślub wzięli rok temu w Wiedniu. Po wyroku TSUE złożyli wnioski o transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa i uzyskali ją bez konieczności prowadzenia sprawy sądowej.

- Zrobiliśmy to, żeby wszyscy obywatele i obywatelki w tym kraju byli równi. Żeby nie było segregacji, że są lepsi ludzie i gorsi ludzie. My jesteśmy ze sobą pół wieku, prawie pięćdziesiąt lat. Od złożenia wniosku trochę to trwało, ale dzięki życzliwości urzędników i wykorzystaniu możliwości, czyli praw, które przysługują obywatelom w Polsce, uzyskaliśmy to bez pomocy sądu - mówił Tomasz Kwietko-Bębnowski.

Transkrypcja aktu małżeństwa Ryszarda Ziobry i Tomasza Kwietko-Bębnowskiego jest drugą w Polsce i uzyskaną bez wyroku sądowego. Urząd Stanu Cywilnego we Wrocławiu dokonał jej na podstawie precedensu ustalonego w Warszawie. Tam podobna transkrypcja została przeprowadzona po pozytywnym orzeczeniu Naczelnego Sądu Administracyjnego, wydanym po wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. W Warszawie 14 maja dokument odebrali Jakub i Mateusz Cupriak-Trojanowie, para, która wywalczyła przełomowe wyroki w Luksemburgu i w NSA.

- Dzisiaj rano dokonaliśmy pierwszej transkrypcji aktu małżeństwa jednopłciowego, zgodnie z wyrokami sądów. Tak jak zapowiadałem, bez zwłoki, natychmiast - mówił wówczas prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. - Dokonujemy formy transkrypcji w taki sposób, jaki uznaliśmy za najbardziej stosowny. Po konsultacjach z innymi urzędami stanu cywilnego, ale również moim współpracownikami, którzy rozmawiali z organizacjami,

które walczyły o prawa LGBT. Tak, żeby to było jak najbardziej godnościowe, ale także pełne i szczegółowe - podkreślił Trzaskowski.

Trzaskowski dodał, że kwestię ujedynolici przysłał rozporządzenie rządowe, które ma sprawić, że transkrypcje w całym kraju będą przeprowadzane w identyczny sposób.

- Czekaliśmy na wyroki polskich sądów, które potwierdziły tę linię i wyjaśniły sporo wątpliwości i pytań. Mamy orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i polskich sądów i ja będę wykonywał te orzeczenia. Natomiast liczę na to, że rozporządzenie, które przygotował rząd, wejdzie w życie jak najszybciej - mówił prezydent Warszawy.

Wszystkie dotychczas zawieszone wnioski zostaną odwieszane. Pary, którym wcześniej odmówiono transkrypcji, mogą złożyć wnioski ponownie.

Przypomnijmy, w listopadzie 2025 roku Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej zobowiązał Polskę do uznawania małżeństw osób tej samej płci zawartych legalnie w innych krajach UE - nawet jeśli polskie prawo takich związków nie przewiduje. W marcu 2026 roku Naczelny Sąd Administracyjny powołał się na ten wyrok, nakazując transkrypcję aktu małżeństwa Jakuba i Mateusza Cupriak-Trojanów, zawartego w Berlinie w 2018 roku. Od tamtej pory NSA nakazał transkrypcję aktów łącznie siedmiu par jednopłciowych.

To dopiero początek

Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski czekali na ten dzień wiele lat.

- Czy nasz związek komuś zagraża? Nikomu - pytał retorycznie Ryszard Ziobro.

Ziobro zakłada, że wszystkie prawa przysługujące małżeństwom będą teraz stosowane również wobec nich. Chodzi chociażby o dostęp do informacji medycznej, dziedziczenie czy prawo do odmowy zeznań przeciwko sobie w sprawach karnych.

- Jest to dosyć nowa sytuacja dla tego kraju. Nowa sytuacja dla różnych urzędów. Myślę, że dzięki temu nie będzie już potrzeby wybierania drogi sądowej, żeby uzyskać uprawnienia, które po prostu obywatelom się należą - dodali wspólnie Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski.

Transkrypcja aktu małżeństwa Ryszarda Ziobry i Tomasza Kwietko-Bębnowskiego to nie tylko przełom dla nich samych, ale - jak podkreślają aktywiści - także sygnał, że Polska wchodzi w nowy etap stosowania prawa wobec par jednopłciowych.

- To moment, na który środowisko LGBT czekało od lat. Otwiera drogę dla kolejnych par. Każda para jednopłciowa może pojechać za granicę, zawrzeć ślub w Görlitz, Berlinie czy Danii, wrócić i zarejestrować go w Polsce. W tym momencie mamy faktycznie małżeństwa jednopłciowe w Polsce - mówi Linus Lewandowski z Homokomando.

Jak zapowiadają aktywiści, to dopiero początek.

- Związków partnerskich nie ma na stole. Jest jakiś projekt „wspólnego pożycia”, czy „o statusie osoby najbliższej”, umowa o nie wiadomo czym. To nas nie interesuje. Śluby też wywalczymy. Myślę, że dwa, trzy, może pięć lat w sądach i będziemy mieć możliwość zawierania ślubów w Polsce. A póki co - polecam parom wyjazd za granicę i niebawienie się w półśrodki - dodaje Lewandowski.

Szacuje się, że na transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa par tej samej płci czeka w Polsce około 1000 par. W samym tylko krakowskim Urzędzie Stanu Cywilnego złożono 13 takich wniosków, a we Wrocławiu - cztery.

Pełnomocniczka rządu ds. równości Katarzyna Kotuła poinformowała, że prace nad rozporządzeniem regulującym wzory aktów stanu cywilnego, które umożliwi systemową realizację transkrypcji, ruszyły w listopadzie 2025 roku, bezpośrednio po wyroku TSUE, ale wprowadzenie zmian w wymagają jednak czasu.

Pary nie czekają

Problem par jednopłciowych i związków partnerskich wrócił, ale tak naprawdę nie mogło być inaczej.

- Chciałbym przeprosić tych wszystkich, którzy przez długie lata czuli się odrzuceni i upokarzani. Państwo tu przez wiele lat nie zdawało egzaminu. Mam nadzieję, że po wyroku trybunału i Naczelnego Sądu Administracyjnego także w parlamencie znajdziemy szybkie, konieczne, dodatkowe rozwiązania o charakterze ustawowym - powiedział przed rozpoczęciem posiedzenia rządu Donald Tusk. I zwrócił uwagę, iż temat ten „od wielu dni jest w centrum uwagi opinii publicznej”.

- Ciągłe nie mamy regulacji prawnych na poziomie ustawowym, które by wyjaśniały status osób, które zdecydowały się na stały związek jednopłciowy - mówił Tusk.

I dodał, że sprawa wiąże się z dwoma kluczowymi kwestiami. Po pierwsze chodzi o „praworządność i przestrzeganie prawa”.

- Zobowiązaliśmy się i będą tego też osobiście pilnować, aby przestrzegać wyroków zarówno trybunałów europejskich, jak i polskich sądów w pierwszym rzędzie. Jest to więc kwestia praworządności - wyjaśnił.

Po drugie, zdaniem Tuska, związki jednopłciowe to także „kwestia godności i praw człowieka”.

- W Polsce są różne poglądy na temat związków jednopłciowych. Motywowany tradycją, wyznaniem wiary, doświadczeniem, poglądami politycznymi. Także na tej sali różnimy się w tej kwestii swoimi poglądami, opiniami. Ale w jednej sprawie przynajmniej my nie możemy się różnić, to jest kwestia godności człowieka, prawa do szczęścia, prawa do równego traktowania przez państwo - tłumaczył Donald Tusk.

I zaapelował do ministrów, aby „szanować godność każdego człowieka i żeby pamiętać o tym, że ci ludzie żyją wokół nas, obok nas, wśród nas i zasługują na takie same uczucia szacunku, godności, na miłość, tak jak każdy inny człowiek”.

Premier zobowiązał przy tym ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego i ministra spraw wewnętrznych i administracji Marcina Kierwińskiego do „pilnego, jak najszybszego ustalenia treści rozporządzenia”.

- Parlamentarzystów wzywam do jak najszybszej pracy tam, gdzie ustawy będą niezbędne, aby opisać konsekwencje tej decyzji - dodał.

13 maja wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski podpisał projekt rozporządzenia w sprawie wzorów dokumentów stanu cywilnego. Docelowo formularz aktu małżeństwa ma mieć trzy warianty: dla par kobieta-mężczyzna, kobieta-kobieta i mężczyzna-mężczyzna. Swoją podpis zapowiedział też szef MSWiA Marcin Kierwiński, ale techniczne dostosowanie systemów potrwa około trzech miesięcy, więc pewnie przepisy zaczną obowiązywać jesienią.

Do tego czasu urzędy stosują rozwiązanie tymczasowe: dane jednej z osób wpisuje się w rubrykę przewidzianą dla przeciwnej płci. W ten sposób wpisano do systemu Trojanów i według tego samego szablonu działają Warszawa oraz Wrocław. Tę samą procedurę zastosuje również Kraków wobec par, które nie zdecydowały się czekać na nowy formularz.

Walka o związki partnerskie

Prawda jest jednak taka, że małżeństwa jednopłciowe i związki partnerskie pozostają w Polsce nielegalne. Transkrypcja nie zmienia tego stanu prawnego, dotyczy bowiem wyłącznie uznawania związków zawartych za granicą. Tymczasem kwestia uregulowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach była jedną z kluczowych dla koalicji 15 października.

- Ustawa o związkach partnerskich to priorytet na pierwsze 100 dni po wyborach - zapowiadał Donald Tusk w kampanii wyborczej. Postulat ten znalazł się także w oficjalnym programie Koalicji Obywatelskiej w „100 konkretach na pierwsze 100 dni rządów”.

Co więcej, Polacy w zdecydowanej większości domagają się uregulowania tych kwestii. Jak wynika z sondażu Opinia24 dla „Faktów” TVN i TVN24, ponad połowa z nas opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich. Sprzeciw wobec tego pomysłu wyraża co trzeci badany.

Uczestnikom sondażu zadano pytanie: „Czy jest Pan(i) za czy przeciw wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce?”. 54 procent ankietowanych stwierdziło, że jest „za”. 34 procent badanych stwierdziło, że jest „przeciw” wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce, a 12 procent odpowiedziało: „nie wiem/trudno powiedzieć/odmowa”.

Wyborcy mogli czuć się zniecierpliwieni, tym bardziej że sprawa uregulowania sytuacji związków partnerskich ciągnie się latami. W październiku 2024 roku, na Rządowym Centrum Legislacji zostały opublikowane dwa projekty ustaw. Pierwszy był projektem właściwym o rejestrowanych związkach partnerskich. Drugi - ustawą wprowadzającą, która miała dostosować przepisy innych ustaw do nowego prawa.

„Projekty ustaw o rejestrowanych związkach partnerskich, które były omawiane z organizacjami pozarządowymi, zostały

DOCELOWO FORMULARZ AKTU MAŁŻEŃSTWA MA MIEĆ TRZY WARIANTY: DLA PAR KOBIETA-MĘŻCZYŻNA, KOBIETA-KOBIETA I MĘŻCZYŻNA-MĘŻCZYŻNA.



FOT. ANETA KOLESIŃSKA

Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski czekali na ten dzień wiele lat. I postanowili się nie ukrywać. – Czy nasz związek komuś zagraża? Nikomu – pytał retorycznie jeden z partnerów

skierowane do konsultacji publicznych i międzyresortowych. To dla mnie bardzo ważny dzień, bo w Wasze ręce oddaję efekt wielu miesięcy pracy całego naszego zespołu” – napisała wówczas na platformie X minister ds. równości Katarzyna Kotula. I dalej: „Tym samym kontynuujemy proces legislacyjny, który jeszcze nie miał w Polsce miejsca i który mamy nadzieję zakończy się wprowadzeniem do polskiego prawa nowej instytucji. To nowy rozdział w długim marszu po równość, który dzięki wieloletniej pracy wielu organizacji LGBT i społeczeństwa obywatelskiego doprowadził nas do tego historycznego momentu”.

Potem, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, minister Kotula stwierdziła, że proponowane projekty „zmieniają właściwie ponad 250 innych ustaw”, po raz pierwszy wprowadzając do polskiego prawa instytucję rejestrowanego związku partnerskiego.

Przygotowany przez nią projekt przewidywał m.in. rejestrację związku partnerskiego w urzędzie stanu cywilnego, możliwość przyjęcia wspólnego nazwiska, dostęp do informacji medycznej, kwestie prawa do decyzji o pochówku, dziedziczenia, wspólność majątkowa, która jest deklaratywna i umożliwia wspólne rozliczanie podatków.

Zapisy wprowadzały również tzw. małą pieczę.

– Nie ma tam przysposobienia dzieci – podkreślała minister

Kotula, przypominając, że to była jedna z kwestii, „które były sporne od początku w koalicji 15 października i na które nie zgadzało się Polskie Stronnictwo Ludowe”. – Tu faktycznie zrobiliśmy taki krok do tyłu, krok kompromisowy i zdecydowaliśmy się na zapisy tylko o małej pieczy. Właściwie są to rozwiązania, które głównie będą służyły tak zwanym rodzinom zrekonstruowanym w parach hetero, kiedy mamy dwa małżeństwa, które się rozwodzą i ci ludzie zabierają ze sobą dzieci, żyją w związku nieformalnym – dodała.

Dokument zakładał, że „osoba w związku partnerskim jest uprawniona do uczestniczenia w sprawowaniu bieżącej pieczy nad wspólnie z nim przebywającym dzieckiem pozostającym pod władzą rodzicielską drugiej z osób w związku partnerskim i jego wychowaniu”.

Z kolei projekt ustawy wprowadzającej związki partnerskie zawierał zmiany w ponad dwustu obowiązujących obecnie ustawach, m.in. ustawie Prawo o aktach stanu cywilnego, ustawie o podatku od spadków i darowizn, a nawet ustawie o Policji, Straży Granicznej i Państwowej Straży Pożarnej. Zmieniają się także obowiązujące regulacje podatkowe, ustawy dotyczące świadczeń opieki zdrowotnej, czy pomocy społecznej. Chodzi o uwzględnienie w definicjach rodziny osób w związku partnerskim oraz osób, z którymi rodzic dziecka pozostaje w związku partnerskim.

Wreszcie konsensus

Projekt był, przyszedł czas na koalicyjne uzgodnienia i oczekiwany konsensus. Za byli posłowie Lewicy, Koalicji Obywatelskiej, większość posłów Trzeciej Drogi. Inaczej sprawa wygląda z ludowcami. Marek Sawicki z PSL-u od początku podkreślał, że opublikowane na RCL-u projekty nie są projektami rządowymi, a dokumentami przygotowanymi przez minister Kotulę.

Dopytywano o to, co w takim razie z projektem, który przygotowuje PSL – o statusie osoby najbliższej, który miał być odpowiedzią na projekt o związkach partnerskich, poseł Stronnictwa odparł, że tym zajmuje się posłanka Urszula Paślawska.

– PSL będzie miał odpowiedź na ten projekt i w najbliższym czasie dokończy swój projekt o statusie osoby bliskiej – zapowiedziała wówczas Paślawska.

Podkreśliła, że również w jej partii jest duża determinacja w sprawie uregulowania kwestii związków partnerskich i to dobrze, że prace przyspieszyły, aby „poprawić życie prawie pół miliona Polaków”.

Bo trzeba pamiętać o tym, że ludowcy już raz „przyblokowali” ustawę o związkach partnerskich, nie godząc się na kwestię przysposobienia dzieci i zrównania statusem związków z małżeństwami (sprzeciwiali się choćby podobnej do małżeńskiej ceremonii zawarcia związku partnerskiego w Urzędzie Stanu Cywilnego).

Koniec końców, ustawa o związkach partnerskich i ustawa wprowadzająca związki partnerskie, choć zostały opublikowane na stronach Rządowego Centrum Legislacji, nie zostały poddane pod głosowanie Rady Ministrów. W czerwcu 2025 roku klub Lewicy złożył do Sejmu te projekty jako poselskie. Z kolei PSL przygotowało alternatywny projekt o statusie osoby najbliższej.

Wreszcie koalicjanci się dogadali i uzgodnili wspólny dokument. Co ciekawe, posłowie Lewicy mówili, że PSL zgodziło się na większość ich propozycji. Z kolei ludowcy podkreślali, że wypracowany projekt dotyczy statusu osoby najbliższej i to Lewica zgodziła się na ich postulaty, a projekt Stronnictwa jest wiodący.

Rząd projekt ustawy o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu przyjął w grudniu 2025 roku. Sejm skierował go do dalszych prac w lutym tego roku. Przeciwno odrzuceniu projektu w pierwszym czytaniu zagłosowało 233 posłów – cała Koalicja Obywatelska, Lewica, Polska 2050, Razem, a także większość posłów Polskiego Stronnictwa Ludowego. Za odrzuceniem projektu było 199 posłów i posłanek – w tym 175 z Prawa i Sprawiedliwości, 14 z Konfederacji oraz dwóch posłów PSL: Marek Biernacki i Marek Sawicki. Trzy osoby wstrzymały się od głosu.

Pytanie, co z gotowym projektem, przyjętym przez Sejm,

zrobi prezydent, jeśli znajdzie się na jego biurku.

Karol Nawrocki zapowiedział w wywiadzie dla „Wprost”, że „z całą pewnością nie, co jest quasi-małżeństwem”, nie może liczyć na jego wsparcie. Dodał, że jest gotowy do podpisania ustawy o statusie osoby najbliższej, „nie tylko w kontekście seksualnym, ale też w kontekście relacji pomiędzy ludźmi”.

Urszula Paślawska, wiceprezes PSL i jedna z współauterek projektu, nad którym pracuje Sejm, zapewniała jednak, że „przepisy są kompromisowe, odnoszą się do konkretnych dziedzin życia, które nawet w dyskusie publicznym nie budziły większych wątpliwości, a ona sama będzie się zwracać się do Pałacu Prezydenckiego z otwartością na propozycje i uwagi, bo bardzo ważne jest, żeby te regulacje weszły w życie”.

Daleko w tyle

Na zawieranie zarejestrowanych związków partnerskich, również parom tej samej płci, pozwalają obecnie w Unii Europejskiej: Austria, Belgia, Chorwacja, Cypr, Czechy, Dania, Estonia, Finlandia, Francja, Niemcy, Grecja, Węgry, Irlandia, Włochy, Luksemburg, Malta, Holandia, Słowenia, Hiszpania i Szwecja. W sumie 20 państw.

W wielu z nich pary homoseksualne mogą też zawierać małżeństwa. Holandia zalegała z zawarciem małżeństwa jedno-

płciowe jako pierwsze państwo na świecie.

Pary w tym kraju mogą obecnie wybierać między małżeństwem, związkiem partnerskim (geregistrowany partnerschaft), a umową o wspólnym pożyciu (samenlevingscontract). Małżeństwo i związek partnerski mają niemal identyczne skutki prawne – dotyczą m.in. dziedziczenia, podatków i opieki nad dziećmi. W przypadku par lesbijskich współmatka może uzyskać status rodzica po uznaniu dziecka. Od 2018 roku obowiązuje system ograniczonej wspólnoty majątkowej, obejmujący jedynie majątek nabyty po ślubie lub rejestracji związku. Związki zawarte za granicą są w Holandii uznawane, jeśli są zgodne z prawem danego państwa.

W każdym razie Polska jest jednym z nielicznych unijnych państw, w których kwestie związków partnerskich nie są uregulowane. Czy wydarzenia ostatnich dni posuną nas o krok do przodu?

Adwokat Paweł Knut, pełnomocnik małżeństwa Jakuba i Mateusza Cupriak-Trojan uważa, że ustawa o statusie osoby najbliższej z jednej strony jest potrzebna, a z drugiej niewystarczająca – zwłaszcza dla tych par jednopłciowych, które dążą do małżeństwa. Większy sens miałyby kilka lat temu, kiedy nie było jeszcze żadnych perspektyw na uznanie w Polsce małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą. Transkrypcja aktu małżeństwa otwiera perspektywę na dużo szerszą ochronę prawną niż status osoby najbliższej. Co za tym idzie, możliwość transkrypcji może być dla par nieheteronormatywnych zachętą do wyjazdów za granicę w celu zawarcia małżeństwa. Sformalizowanie związku i uzyskanie dokumentu potwierdzającego, że są dla siebie osobami najbliższymi, ułatwi im życie w bardzo wielu obszarach.

– Sam zachęcam do tego moich klientów. Podkreślam jednak, że taki wyjazd często jest efektem frustracji lub poczucia niesprawiedliwości. Osoby, z którymi pracuję, mieszkają w Polsce, płacą tu podatki, mają obowiązki, pracują dla swoich społeczności albo dla państwa, a w tej konkretnej sprawie muszą wyjeżdżać za granicę. To inny kraj daje im coś, czego nie daje im własny – Polska. Ich śluby w obcym miejscu, niekiedy także bez towarzystwa najbliższych, to czasem wydarzenia słodko-gorzkie – stwierdził mecenas.

Wygląda jednak na to, że to szansa dla par jednopłciowych, które brak uregulowań w Polsce będą musiały po prostu obchodzić.

Współpraca: Remigiusz Biały, Aneta Kolesińska, PAP



FOT. PAWEŁ DUBIEL

Daniel Wojtas: - Mam wrażenie, że część mediów i niektórzy ludzie grają na emocjach. To przekłada się na poczucie bezpieczeństwa mieszkańców i turystów

FILMIKI Z NIEDŹWIEDZIAMI ODSTRASZAJĄ TURYSTÓW

- Rodzice dzwonią i pytają, czy dzieci będą bezpieczne na szlakach. Część grup szkolnych prosi o alternatywne zajęcia zamiast wyjść w teren - mówi bieszczadzki przedsiębiorca

Barbara Galas

Jeszcze kilka lat temu spotkanie z niedźwiedzią w Bieszczadach było dla turystów rzadkością i wyjątkową atrakcją. Dziś widok drapieżnika spacerującego przy drodze, między domami czy w pobliżu pensjonatów coraz częściej trafia do mediów społecznościowych. Mieszkańcy gminy Solina i innych bieszczadzkich miejscowości alarmują, że sytuacja staje się coraz trudniejsza. Samorządowcy mówią o ograniczonych możliwościach działania, przedsiębiorcy obawiają się o turystykę, a mieszkańcy przyznają wprost: po zmroku boją się wychodzić z domów.

Nagrania z niedźwiedziami spacerującymi po Polańczyku, Wołkowyi czy okolicach Soliny regularnie pojawiają się w internecie. Zwierzęta podchodzą pod zabudowania, przeszukują śmietniki i coraz śmielej pojawiają się tam, gdzie mieszkają ludzie.

- Od marca do dziś mamy ponad 60 zgłoszeń dotyczących konfliktu na linii człowiek - niedźwiedź tylko w naszej gminie - mówi Jarosław Duda, zastępca wójta Soliny. - Mieszkańcy zgłaszają takie sytuacje również policji i innym służbom. Jako gmina mamy jednak bardzo ograniczone możliwości działania.

Samorządowcy podkreślają, że prowadzone są działania prewencyjne. W gotowości pozostają jednostki OSP, wydawane są ostrzeżenia dla mieszkańców, a niedźwiedzie próbują się płoszyć sygnałami dźwiękowymi.

- Trudno jednak ocenić skuteczność tych działań. To bardziej pytanie do ekspertów - przyznaje Jarosław Duda. - W ostatnich latach składaliśmy wnioski o odstrzał konfliktowych osobników, jednak nie otrzymaliśmy zgody. W ubiegłym tygodniu wójtowie i przedstawiciele bieszczadzkich gmin uczestniczyli w posiedzeniu sejmowej Komisji Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych

i Leśnictwa. Wszyscy apelowali jednym głosem o realne i skuteczne rozwiązania legislacyjne. Sytuacja samorządów jest bardzo trudna, bo z jednej strony odpowiadamy za bezpieczeństwo mieszkańców i turystów, a z drugiej - z uwagi na ścisłą ochronę gatunkową - mamy bardzo ograniczone pole działania. Nie możemy jedynie bez końca apelować o ostrożność - dodaje zastępca wójta.

„Po nocach nie śpimy”

Największy niepokój odczuwają mieszkańcy miejscowości, gdzie niedźwiedzie pojawiają się najczęściej. W Wołkowyi strach stał się codziennością.

- Po nocach nie śpimy i tyle. Trzeba coś z tym zrobić - mówi pan Bogusław z Wołkowyi. - Kiedy wyszedłem na podwórko o zmierzchu, pod gankiem stały trzy niedźwiedzie. U nas to już właściwie norma.

Mężczyzna przyznaje, że mieszkańcy są coraz bardziej zdeterminowani.

- Dzieci odprowadzamy do szkoły i przedszkola. Po zmroku praktycznie nikt już nie wychodzi z domu. Ludzie zwyczajnie się boją - opowiada.

Jak dodaje, problem zaczyna coraz mocniej uderzać również w lokalną gospodarkę.

- Zbliża się sezon letni i będziemy bardzo stradni. Turysty rezygnują z przyjazdów. Rozmawiam z mieszkańcami i każdy to potwierdza. U sąsiadki o trzeciej nad ranem pojawiły się dwie samice z młodymi. To już nie są pojedyncze przypadki - podkreśla.

Wśród mieszkańców coraz częściej słychać głosy domagające się bardziej zdecydowanych działań.

- Trzeba część populacji zredukować i tyle - mówi mieszkaniak Wołkowyi. - Ludzie w Warszawie nie rozumieją, jak wygląda życie tutaj na miejscu. Niedźwiedź potrafi wejść praktycznie wszędzie. To bardzo sprytnie zwierzę.

„Nie popadajmy w panikę”

Daniel Wojtas, który prowadzi m.in. Hotel w Polańczyku przyznaje, że problem istnieje, ale jednocześnie apeluje o rozsądek.

- Bieszczady nadal są bardzo bezpiecznym regionem - podkreśla. - W mojej ocenie nie wzrosła liczba ataków niedźwiedzi na ludzi. Widzimy ich więcej, bo prawdopodobnie populacja jest większa, ale nie zauważałem, żeby były agresywne.

Jak mówi, największym problemem staje się dziś atmosfera strachu podsycana w mediach społecznościowych.

- Mam wrażenie, że część mediów i niektórzy ludzie grają na emocjach. To przekłada się na poczucie bezpieczeństwa mieszkańców i turystów. Sam biegam po lesie i ostatnio złapałem się na tym, że zacząłem się zastanawiać, czy wieczorem na szlaku jest bezpiecznie. A przecież realnie nic się nie zmieniło - mówi.

Przedsiębiorca podkreśla jednak, że problemu nie można bagatelizować.

- Potrzebne są skuteczne działania, przede wszystkim płoszenie niedźwiedzi, zanim przyzwyczają się do szukania pożywienia przy ludzkich domach. Im dłużej urzędnicy będą przeciągać decyzje, tym sytuacja będzie trudniejsza - ocenia.

Wojtas potwierdza, że skutki obecnej sytuacji już odczuwa branża turystyczna.

- Rodzice dzwonią i pytają, czy dzieci będą bezpieczne na szlakach. Część grup szkolnych prosi o alternatywne zajęcia zamiast wyjść w teren. Są też osoby, które odkładają decyzję o rezerwacji wakacji w Bieszczadach - mówi.

Jednocześnie zaznacza, że mieszkańcy nie chcą wojny z dziką przyrodą.

- Ludzie w Bieszczadach są dumni z tego, że mamy tutaj dziką naturę. To nasza marka budowana przez lata. Nie można strzelać do niedźwiedzi tylko dlatego, że żyją. Eliminować należy jedynie osobniki agresywne albo takie, których nie da się przepłoszyć - podkreśla.

„Jesteśmy w patowej sytuacji”

Samorządowcy tłumaczą, że znaleźli się między oczekiwaniami mieszkańców a restrykcyjnymi przepisami dotyczącymi ochrony gatunkowej.

- Jesteśmy w swoistej patowej sytuacji - mówi Robert Petka, zastępca wójta gminy Olszanica. - Z jednej strony chcemy zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom i turystom, z drugiej nie chcemy wywoływać paniki.

Petka nie kryje frustracji wobec działań administracji rządowej. Obecne przepisy powodują, że decyzje dotyczące niebezpiecznych osobników podejmowane są zbyt długo.

- Nie może być tak, że lokalne władze tygodniami czekają na decyzje z Warszawy, gdy zagrożone jest bezpieczeństwo

mieszkańców. Zaczynamy być obywatelami nie kategorii B, ale wręcz C czy D. Społeczność Bieszczadów i Beskidu Niskiego jest pozbawiana podstawowego poczucia bezpieczeństwa i normalnego funkcjonowania. Ta sytuacja jest dla nas nie do zaakceptowania.

Turystyka pod presją

Bieszczady żyją przede wszystkim z turystyki. Stąd też obawy, że medialne doniesienia o niedźwiedzich mogą poważnie odbić się na tegorocznym sezonie.

- Mamy ponad 60 tysięcy miejsc noclegowych, a bardzo wiele osób utrzymuje się właśnie z obsługi ruchu turystycznego - opisuje skalę problemu Katarzyna Zielińska, sekretarz gminy Solina.

Samorządy mają obowiązek informowania mieszkańców i turystów o zagrożeniach, ale też starają się to robić tak, by nie potęgować paniki. Do Urzędu Gminy Solina docierają sygnały od przedsiębiorców obawiających się o sezon.

- Ludzie monitorują sytuację i część decyzji o wyjazdach odkładają na później. Mimo wszystko liczymy, że ten sezon nie będzie stracony - mówi.

Jak znaleźć równowagę?

Kluczowy spór dotyczy tego, jak radykalne mają być działania podejmowane wobec niedźwiedzi.

- Część samorządowców chce rozwiązań radykalnych, podobnych do tych stosowanych na Słowacji, czyli odstrzału części populacji. Ja uważam, że najpierw należy skutecznie płoszyć zwierzęta, a zredukować jedynie osobniki agresywne albo takie, których nie da się przepłoszyć. Wszystko powinno być jednak poparte badaniami naukowymi. Samorządowcy powinni mieć możliwość podejmowania szybkich decyzji na miejscu, w ramach sztabu kryzysowego, jeśli dany osobnik stanowi zagrożenie dla ludzi - dzieli się swoimi przemyśleniami Daniel Wojtas.

Przedsiębiorca podkreśla jednocześnie, że problem nie może być wykorzystywany politycznie.

- Nie zgadzam się na budowanie politycznych zasięgów na strachu mieszkańców. To bardzo szkodliwe dla ludzi, którzy chcą tutaj spokojnie żyć i pracować - zaznacza.

Część mieszkańców domaga się jednak bardziej zdecydowanych działań.

- Jeśli ktoś z Warszawy chce, żeby Bieszczady były skansenem, to nie ma problemu. Ludzie mogą się ubrać w sukmany, tylko trzeba im za to zapłacić. Jeśli jednak mamy być regionem turystycznym, to problem z niedźwiedziami trzeba realnie rozwiązać - mówi mieszkaniak Polańczyka.

BALLADA O JACKU ZEJDLERZE, SERIALOWYM TOLKU BANANIE

Jacek Zejdlar nie żyje już blisko pięćdziesiąt lat. Był łodzianinem. Dla wielu osób pozostał niezapomnianym Tolkiem Bananem, bohaterem popularnego serialu. Okoliczności jego śmierci do dziś owiane są tajemnicą.



Anna Gronczewska

Jacek Zejdlar urodził się 19 stycznia 1955 roku w Łodzi. Jego ojciec Andrzej był adwokatem, mama Barbara lekarzem, znaną pediatrą. Jacek skończył III LO im. Tadeusza Kościuszki. Po maturze, którą zdał w 1973 roku dostał się do Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Nie był anonimowym chłopakiem. Miał za sobą epizod w „Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa”, zanim zasłynął tytułową rolę w serialu Stanisława Jędryki „Stawiam na Tolka Banana”.

Pokolenie dzisiejszych pięćdziesięcio- czy sześćdziesięciolatków powie, że był to ulubiony film ich dzieciństwa. Nie było podwórka, na którym nie nucono by piosenki o Tolku Bananie, o jego starych dzinsach i dziurawych kamaszach. Jacek Zejdlar zagrał Szymka Krusza, chłopaka, który podszywa się pod Tolka Banana, rzekomego uciekiniera z domu poprawczego i zajmuje się grupą tzw. trudnej młodzieży.

Fatum ciążyło nad aktorami serialu

Serial do dziś cieszy się wielką popularnością. Głównie dzięki młodym aktorom, którzy w nim zgrali. Znalazł ich reżyser „Stawiam na Tolka Banana” niezjący już Stanisław Jędryka. Nie ukrywał, że ciążyło nad nimi jakieś fatum.

– Z sześciu aktorów grających główne role nie żyje już trzech – mówił nam w wywiadzie Stanisław Jędryka. – Ale żyją dalej w serialu. Sergiusz Lach przyszedł na zdjęcia próbne po ogłoszeniu w gazecie. Gdy go zobaczyłem, to od razu wiedziałem, że to idealny kandydat na „Filipka”. Dalej nie szukałem. Po latach odwiedziłem go w Sztokholmie, gdzie mieszkał. Był działaczem „Solidarności” i w pewnym momencie postanowił wyemigrować do Szwecji, bo groziły mu przykre konsekwencje. Pojechał do Szwecji, a następnego dnia zjawili się



Jacek Zejdlar zagrał Szymka Krusza, chłopaka, który podszywa się pod Tolka Banana, rzekomego uciekiniera z domu poprawczego i zajmuje się grupą tzw. trudnej młodzieży

u niego panowie z SB. Jacek Zejdlar studiował już wtedy w łódzkiej Szkole Filmowej. Był idealnym aktorem do roli Tolka. Ostatni raz spotkałem się z nim na Mazurach. Kręciłem tam „Szaleństwo Majki Skowron”. Nagle ktoś zaczął wykrzykiwać w moją stronę: Dzień dobry, panie reżyserze! Był to Jacek. Kilka lat później nie żył...

Wspominany przez reżysera Sergiusz Lach zmarł nagle w Szwecji w 2015 roku. Miał 54 lata. W Szwecji mieszkał od lat, zajmował się między innymi fotografią. Nie żyje też Andrzej Kowalewicz, który w „Stawiam na Tolka Banana” grał „Cygana”, chłopaka o czarnych, kręconych włosach, który pięknie grał na skrzypcach. Nie związał się jednak z aktorstwem. Wiele podróżował, zajmował się handlem, był właścicielem firmy serwisowej. W 2012 roku zginął w wypadku samochodowym...

Filip Łobodziński, dziś znany dziennikarz i tłumacz, opowiadał w jednym z wywiadów o swojej znajomości z Jackiem Zejdlarem. Poznali się na planie „Stawiam na Tolka Banana”.

– Jacek odmienił moje życie – mówił o swoim koleździe Filip Łobodziński. – Powiedział mi o „Ilustrowanym Tygodniku Rozrywkowym” Jacka Janczar-

skiego i Adama Kreczmara, zeszyt, w którym spisywał teksty Beatlesów. Pokazał mi, że słowa piosenek mogą nieść treść.

SB szła za nim krok w krok

Gdy Jacek studiował w Szkole Filmowej, był już znanym człowiekiem. Jednak koleżdy zapewnijają, że popularność go nie zmieniła.

Na studiach w łódzkiej Szkole Filmowej Jacek związał się z łódzkim środowiskiem skupionym wokół Komitetu Obrony Robotników. Łodzianin Józef Śreniowski, członek KOR, dobrze pamięta Jacka Zejdlara. Tak jak pierwsze spotkanie z aktorem. KOR zbierał podpisy pod listem do sejmiku, w którym domagano się zwolnienia z więzień robotników zatrzymanych po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie.

– Nie było nas w Łodzi wielu – wspomina Józef Śreniowski. – Pomagali nam studenci, m.in. z polonistyki, fizyki, biologii. Zapamiętałem też dwójkę młodych ludzi, którzy studiowali w szkole filmowej. Przynieśli bardzo dużo podpisów.

Tymi studentami byli Jacek Zejdlar i studentka reżyserii, niezjący już Natasza Czarmińska.

Józef Śreniowski nawiązał bliższą znajomość z Jackiem.

– Przychodził często do mnie do domu – mówi Józef Śreniowski. – Nie interesował się polityką, ale związał się z nami z powodu moralnego sprzeciwu. On szukał swojego miejsca w życiu. Był bardzo wrażliwym młodym człowiekiem.

Dziewczyna Tolka Banana

Po skończeniu Szkoły Filmowej Jacek Zejdlar dostał etat w Teatrze im. Jaracza. Niezjący już Barbara Wałkówna, długoletnia aktorka tego teatru, która wykładała też w Szkole Filmowej, zapamiętała Jacka z roli Gucia w „Ślubach panińskich”. Zagrał ją jeszcze na studiach. Był to jednocześnie jego dyplom.

– Pięknie zagrał tego w Gucia – wspominała Barbara Wałkówna. – Nie był za wysoki, ale na scenie był pełen wdzięku, bardzo zabawny. Prywatnie robił wrażenie człowieka spokojnego, z poczuciem humoru. Takiego, do którego uśmiecha się świat.

Aktor dalej współdziałał z łódzką opozycją. Niezjący już Tomasz Filipczak, działacz podziemia, mówił nam, że Jacek był jednym z najwspanialszych ludzi, jakich spotkał na swojej drodze.

Dziewczyną Jacka Zejdlara była znana, niezjący już aktorka Daria Trafankowska, o rok starsza od Jacka. Razem studio-

wali aktorstwo w łódzkiej Szkole Filmowej.

– Dziewczyna Tolka Banana! – krzyczały dzieci, gdy szła z Jackiem łódzkimi ulicami.

Jednak ich związek nie przetrwał. Jacek poznał inną dziewczynę, z którą się ożenił. Po latach Daria Trafankowska opowiadała, że dostała dramatyczny list od swojego byłego chłopaka. Jacek miał w nim pisać, że nic nie ma sensu i myśli o tym, by pożegnać się z tym światem. Ona przygotowywała się do premiery „Braci Karamazow”. Kilka dni po niej dotarła do niej tragiczna wiadomość...

Dyrektor wyrzucił go z teatru

W 1979 roku Jacek Zejdlar zagrał jeszcze w serialu Jerzego Hofmana „Do krwi ostatniej”. Grał Zbyszka Trepko, młodego chłopaka wstępującego do armii Zygmunta Berlinga. Ale ten rok nie był dla niego szczęśliwy. Stracił pracę w łódzkim Teatrze im. Jaracza. Dziś już trudno dociec dlaczego. Tomasz Filipczak przekonywał, że były to powody polityczne.

– Wystawiano spektakl z czasów rzymskich, tytułu nie pamiętam – opowiadał Tomasz Filipczak. – Jacek z kolegami na ścianie sceny umieścił wielki napis: „KOR”.

Jacek był rozczarowany tą decyzją. Z dnia na dzień pozostał bez pracy. Pomogli przyjaciele. Dwóch grało w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Zapytali ówczesnego dyrektora Bogdana Cybulskiego, czy przyjmie Jacka. Zgodził się. Tak we wrześniu 1979 roku Jacek Zejdlar znalazł się w Opolu. Zaczął próby do „Wojny chłopskiej” Jonasza Kofty. Premiery nie doczekał...

Zdzisław Jaskuła, niezjący już znany łódzki poeta, były dyrektor Teatru Nowego w Łodzi, też działacz opozycji, widział się z Jackiem Zejdlarem na kilka dni przed jego śmiercią. Pamięta tylko, że miało to miejsce w mieszkaniu ich wspólnej koleżanki Joasi. Zapamiętał Jacka jako niesłychanie wrażliwego, młodego człowieka.

– Tego wieczora rozmawialiśmy bardzo długo – wspominał Zdzisław Jaskuła. – Widać było, że jest w depresji. Miał nieciekawą sytuację rodzinną, której szczegółów nie znałem. Choć do rozczarowania miłosne. Pojawili się problemy w jego

małżeństwie. Miał poczucie absurdu dalszej egzystencji. To osobiste nieszczęście bardzo przeżywał. Przekonywałem Jacka, że życie ma sens. Gdy się rozstawaliśmy, wydawało się, że jest weselszy, uspokojony. Ale chyba było to tylko złudzeniem. Kilka dni potem dowiedziałem się, że nie żyje.

Dlaczego umarł?

O śmierci Jacka Zejdlara przez lata krążyły legendy. Mówiono, że Tolek Banan zginął w wypadku samochodowym. Pojawiały się informacje, że esbecy zrzucili go z mostu na Odrze, albo przejechali go autem. Inna z wersji mówiła, że związali aktora, wsadzili do śpiwora i odkręcili gaz. Jak było naprawdę?

Józef Śreniowski jeszcze dziś nie wyklucza, że za sprawą śmierci Jacka Zejdlara stała SB, że było to upozorowane samobójstwo. Wie, że aktora nękał SB. Powiedział mu kiedyś, że jest szantażowany przez esbeków. Nie zdradzał jednak, o co chodzi.

– Raz tylko zdenerwowany Jacek krzyknął: Nie zrobią ze mnie kapusia! – wspomina Józef Śreniowski.

Bliski przyjaciel Jacka opowiada, że kiedy był z nim na kursach dokształceniowych organizowanych w Łodzi, w jednym z mieszkań przy ul. Narutowicza, niedaleko słynnej przed laty kawiarni „Irena”, wpadli tam esbecy. Potem on wyjechał z Łodzi, Jacek został. Wie, że był ciągany przez SB. Jednak jego zdaniem to, co się stało, było zbiegiem splotu psychologicznych zdarzeń. Rok przed śmiercią Jacek ożenił się. Gdy wyjechał do Opolu, jego żona została w Łodzi. Zaczęło się coś psuć. Bardzo to przeżywał.

– Wydawało się, że nie jest kruchy, ma dużo siły – twierdzi jego przyjaciel. – Optymistycznie myślał o swojej przyszłości zawodowej, życiowej. Coś jednak musiało w nim pęknąć.

Imprezę sylwestrową, na której witano nowy 1980 rok zorganizował dyrektor opolskiego teatru, Bohdan Cybulski. Jacek był na tym sylwestrze. Podobno doszło do jakiejś wymiany zdań między nim a dyrektorem. Obaj byli po alkoholu. Jacek wyszedł z imprezy. Wrócił do swojego mieszkania. Na ulicy równo zaparkował swojego fiata...

Jacka znaleziono 2 stycznia 1980 roku. Ktoś poczuł gaz wydobywający się z jego mieszkania. Leżał w śpiworze, przy otwartym piekarniku. Podobno wcześniej wykręcił korki. Jacek Zejdlar został pochowany w rodzinnej Łodzi, na cmentarzu przy ul. Szczecińskiej w Łodzi. Miał 25 lat. Niedługo przed śmiercią pojawił się w filmie „Wesela nie będzie”. Zagrał w nim samobójcę, którego odratowano po kolejnej próbie odebrania sobie życia...



Ciągłe żywy fenomen Zdzisława Beksinińskiego

Beksiniński nie żyje od ponad 20 lat - ale ciągle ma status malarza kultowego, jego twórczość otacza nim subkultury. Album z jego pracami i tekstem jego przyjaciela tłumaczy tę popularność.
Wiesław Banach „Beksiniński 6”, wyd. Bosz, Olesko 2026, cena 119,90 zł



Dlaczego w Niemczech ciągle widać NRD?

Inspirowana częściowo własnym życiem powieść o życiu we współczesnych Niemczech. Kraju, na którym ciągle widać ślad pęknięcia na dwie części: NRD i Niemcy Zachodnie.
Anne Rabe „Anatomia szczęścia”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 59,99 zł



Czy Warszawa da się lubić?

Oryginalny, ciekawie zilustrowany przewodnik po Warszawie. Stolica pokazana od nieoczywistej strony.
Przemysław Ciunowicz, Łukasz Ostojka-Kasprzycki „PoWarszawsku. Przewodnik spacerowy po stolicy”, wyd. Newhomers, Warszawa 2026, cena 79,90 zł



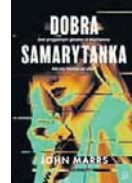
Wszystko o matce Jezusa

Maj to tradycyjnie miesiąc maryjny. Pasuje do niego zbiór homilii kard. Rysia poświęconych matce Jezusa. Erudycyjne rozważania o jej życiu, poświęceniu i jej wpływie na współczesny Kościół.
kard. Grzegorz Ryś „O Maryi”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 54,99 zł



Mrok, który nie znika przez dekady

Nowa książka legendarnej autorki, która współtworzyła nurt mrocznych skandynawskich kryminałów. Zbrodnia sprzed lat, która pokazuje ciemną stronę ludzi i Szwecji.
Camilla Läckberg „Płaczka”, wyd. Czarna Owca, Warszawa 2026, cena 54,99 zł



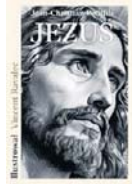
Telefon bez zaufania

Telefon zaufania to miejsce, w którym osoba bez nadziei może odnaleźć bratnią duszę. Ale co się dzieje, gdy po drugiej stronie słuchawki znajduje się ktoś, kto karmi się cierpieniem?
John Marrs „Dobra Samarytanka”, wyd. IV Strona, Poznań 2026, cena 54,90 zł



Wojna 31-letnia

Autor opisuje konflikty pierwszej połowy XX w. - ale nie jako dwie oddzielne wojny światowe, tylko jak powiązane ze sobą ciąg walk. Rumuje się ze współczesnością.
Sławomir Leśniewski „Wojna - pokój - wojna (1914-1945)”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 79,90 zł



Jezus Chrystus oczami historyka

Graficzna biografia Jezusa Chrystusa. Autor ucieka od perspektywy religijnej i tworzy ten portret przede wszystkim w oparciu o wiedzę historyczną.
Jean Christian Petitfils „Jezus. Opowieść o życiu Mistrza z Nazarethu”, wyd. Zysk i s-ka, Poznań 2026, cena 69,99 zł



Polska, której już nie ma

Wznowienie powieści wydanej oryginalnie w 1947 r. Autor opowiada o swoich doświadczeniach o podróżach po podolskich wsiach jeszcze przed wojną. Portret świata, który już znikł.
Leopold Buczkowski „Wertepty”, wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 55 zł



Życie współczesnej Palestynki

Powieść silnie rezonująca z bieżącymi wydarzeniami politycznymi. Jej bohaterką jest osadzona w więzieniu młoda Palestynka. Poznaje jej życie uchodźcy.
Susan Abulhawa „Na przekór światu bez miłości”, wyd. Sonia Draga, Katowice 2026, cena 59,90 zł



Gdy Paryż okazuje się zbyt droгим miastem

Komiks dla dorosłych o młodej studentce z Paryża, która zaczyna dorabiać sobie jako prostytutką. Całość elegancją narysowana czarną kredką, bez wulgarności.
Sixtine Dano „Sibylline. Wspomnienia eskortki”, wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 99,99 zł



Historie małżeńskie

Kryminał z oryginalnie poprowadzoną narracją. Jego bohaterkami są jednocześnie dwie kobiety (obie występują w pierwszej osobie): podejrzana i policjantka. Jak się przetną ich losy?
Jenny Blackhurst „Ostatnia żona”, wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 49,90 zł

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin: ul. Partyzantów 17, 75-411 Koszalin, tel. 94 347 35 12
Oddział Słupsk: ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03
Oddział Szczecin: Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:

■ NIERUCHOMOŚCI
■ HANDLOWE
■ MOTORYZACJA

■ FINANSE/BIZNES
■ NAUKA
■ PRACA

■ ZDROWIE
■ USŁUGI
■ TURYSTYKA

■ BANK KWATER
■ ZWIERZĘTA
■ ROŚLINY, OGRODY

■ MATRYMONIALNE
■ RÓŻNE
■ KOMUNIKATY

■ ŻYCZENIA
■ /PODZIĘKOWANIA
■ GASTRONOMIA

■ ROLNICZE
■ TOWARZYSKIE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIMY Twoje mieszkanie w Słupsku w każdym stanie technicznym i prawnym także udziały w nieruchomościach. Tel. 59 727 60 94

LOKALE UŻYTKOWE - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział! 602738759

GOSPODARSTWA

SPRZEDAM ziemię rolną: pszenrol.com.pl

Motoryzacja

OSOBE SPRZEDAM

SPRZEDAM Ford Fiesta 1.0 MK7 Gold X, salon Polska 2015, cena 22.500, tel. 604-057-960.

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek. Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

Usługi

AGD RTV FOTO

PRALKI naprawa w domu, 603 775 878

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALOWANIE_DACHÓW. 788-016-988.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/ rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

Matrymonialne

PAN 75 lat pałacy, niepijący pozna Panią od 67-73 lat w celu zapoznania się, wspólne spacer, rozmowy, podróże. Kontakt + 4915759089323 lub Whatsapp lub Messenger

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń. **Bez wychodzenia z domu.**

ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →



**Strona
Kuchni**



Wszystkie smaki kuchni

stronakuchni.pl

PODRÓŻE

Egipt? Nie lepiej odwiedzić Wietrzychowice na Kujawach?

Ze wszystkich zadziwiających turystycznych atrakcji, które Aleksandra i Grzegorz Koper zgromadzili w tomie „Cuda niewidy. Alternatywne wędrówki po Polsce”, Wietrzychowice na granicy Wielkopolski i Kujaw zadowolą każdego. Niby wieś jak każda inna – niecałych 200 mieszkańców, pola, trochę lasów. Ale właśnie te lasy są ważne, bowiem kryją rezerwat archeologiczny, konkretnie cmentarzysko szkieletowe. Zostało wzniesione przez plemiona pasterzy i rolników, zamieszkujących te tereny prawie 6 tys. lat temu.

Do czego służyły?

Antenaci dzisiejszych Wietrzychowiczian stawiali swe imponujące grobowce, nazywane też kopcami kujawskimi, z wielkim upodobaniem. Jak upierają się archeolodzy, było to skutkiem systemu wierzeń religijnych.

Nasypy, w kształcie wydłużonego trójkąta, nierzadko dochodzące do 150 m długości, 6,5–10 m szerokości (w części czołowej) i 2 m wysokości, okładane były głazami i większymi kamieniami, których masa w partii szczytowej sięgała 7–10 ton; zaś w miarę zwyżania się grobowca kamienie były coraz mniejsze.

Dzięki temu nie obsuwały się, a budowle owe mogły przetrwać tysiąclecia. W partiach czołowych budowli występują przerwy w obstawie kamiennych. Były to zapewne wejścia do drewnianych komór przeznaczonych na odprawianie obrzędów.

Dlaczego tylko mężczyźni?

„Owe dziwne kopce – piszą małżonkowie Koper – są wyższe od przeciętnego dorosłego człowieka, a ich długość podsusza myśl, że musiały powstać przy udziale mocy nie z tego świata”.

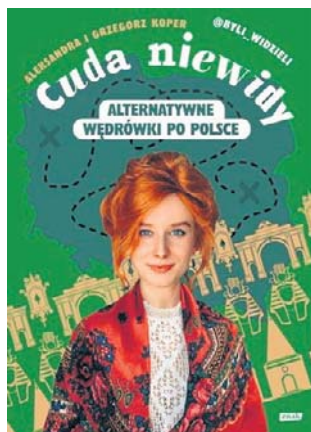
No bez przesady, badacze dowodzą, że nie trzeba tu nadmiernie mnożyć bytów. Transport budulca, z uwagi na rozmiar i ciężar kamiennych bloków, odbywał się zapewne wołami. Co ciekawe, w grobach pochowani byli wyłącznie mężczyźni. Badania wykazały, że były to pochówki pojedyncze, choć spotyka się przypadki znalezienia dwóch mężczyzn pochowanych w tym samym czasie.

Zmarłych układano w pozycji na wznak. Głowy nieboszczyków posłusznie skierowane były do czoła grobowca.

Zdumiony Oskar Kolberg

Do Wietrzychowic pielgrzymowały od stuleci tłumy ciekawskich. Oskar Kolberg, etnograf, encyklopedysta, folklorysta, a nierzadko nawet kompozytor, opisał swoje wrażenia z pobytu na Kujawach w rozdziale „Żale”, w tomie „Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce” z 1869 r.

Dlaczego żale? Nie chodzi o stan emocjonalny uczonego, lecz nazwę, jaką XIX-wieczni mieszkańcy nadali tajemniczemu grobowcom – „żalki”. Kolberg nie był przesadnie uczuciowy, ale widać wrażenie, jakie zrobili na nim ludzie sprzed tysięcy lat zmotywani do tego, by przekopywać tysiące metrów sześciennej ziemi i transportować setki wielkich głazów. Trudno mu się dziwić, a co potwierdził każdy odwiedzający Wietrzychowice. **margra**



Aleksandra i Grzegorz Koper, „Cuda niewidy. Alternatywne wędrówki po Polsce”, wyd. Znak, Kra-ków 2026, cena 64,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

SANDRA KUBICKA

Wyprawiła przyjęcie

Choć w marcu modelka rozwiodła się z Aleksandrem Milwim-Baronem, to musi dzielić się z nim opieką nad ich wspólnym dzieckiem. Kilka dni temu mały Leonard obchodził drugie urodziny. Rodzice nie celebrowali jednak tej chwili razem. Sandra wyprawiła chłopcu przyjęcie na ranchu z takimi atrakcjami, jak głaskanie alpaki, przeciąganie liny czy wata cukrowa. Nie brakowało też tematycznej ścianki i tortu ze zwierzętami i traktorem. Baron z kolei zorganizował synowi dzień w parku rozrywki. Najpierw pochwalili się jednak prezentem, jaki wręczył Leosowi, czyli miniskuterem Vespa. Następnie zrelacjonował ich wspólną zabawę. U taty dwulatek również miał tort – też z motywem farmy.

KATARZYNA CICHÓPEK

Pokazała wnętrza

Na początku grudnia ubiegłego roku Kasia Cichopek i Maciej Kurzajewski kupili luksusową posiadłość pod Warszawą. Przez kilka ostatnich miesięcy trwał w niej remont. Wokół znajdują się wysokie drzewa, które zapewniają prywatność. Sam budynek ma nowoczesną, prostą formę i duże okna, dzięki którym wnętrza są pełne światła. Teraz Cichopek podzieliła się w sieci nagraniem, na którym pokazała pokój, kuchnię i łazienkę. Największe wrażenie robi duża wanna ze złotymi kurkami. Ciebrytka postawiła na jasną kolorystykę oraz eleganckie akcenty, które podkreślają przestronność domu. Wnętrze posiadłości jest minimalistyczne, ale jednocześnie przytulne.

MARCELA LESZCZAK

Zeszła z leków

Ostatnie miesiące przyniosły modelce rewolucję w jej życiu prywatnym. Najpierw po wielu latach burzliwego związku rozstała się z Michałem Koterskim, a potem znalazła nową miłość u boku biznesmena z Gdyni. W minionym tygodniu Leszczak obchodziła 34. urodziny i z tej okazji zamieściła bardzo osobisty wpis na Instagramie. „Po pięciu latach walki z ciągłymi lękami



Magda Gessler – pewnie nieoczekiwanie dla samej siebie – trafiła do reklamy amerykańskich demokratów

i depresją zeszałam całkowicie z farmakoterapii i jestem wolna od dziewięciu dni. Nigdy nie miałam w to wiary, że mi się uda! Zanim do tego doszło, musiałam wprowadzić bardzo dużo zmian w swoim życiu, które były również bolesne” – napisała.

IZABELA JANACHOWSKA

Dostała skrzydeł

Celebrytka poinformowała za pośrednictwem swego Instagrama, że jest w ciąży. Zamieściła nagranie, na którym widać zdjęcie z USG i podpisała je „Czekamy na ciebie”. Będzie to owoc jej związku ze starszym od niej o 27 lat milionerem Krzysztofem Jabłońskim. Para ma już syna – siedmioletniego Christophera Alexandra. Janachowska zdążyła udzielić pierwszego wywiadu po ogłoszeniu dobrej nowiny. Odwiedziła „Dzień dobry TVN” i spytana jak się czuje, powiedziała: „Świetnie. Mam poczucie, że ta ciąża i ogrom miłości, który dostają od bliskich, dosłownie dodają mi skrzydeł”.

MAGDA GESSLER

Popiera demokratów

Najsympatyczniejsza polska restauratorka ma wielu przeciwników i zwolenników. Do tych drugich okazują się teraz należeć... amerykańscy demokraci. Oto bowiem Gessler pojawiła się na jednej z rolek, które trafiły na oficjalne konto partii na Tik-

Toku, które ma sześć milionów obserwatorów. Na wideo użyto popularnej czółowki do „Kuchennych rewolucji”, w której Gessler steruje lewitującymi w powietrzu nożami. Niżej możemy przeczytać podpis, nawiązujący do zbliżających się wyborów śródkresowych, odbywających się w USA zawsze w połowie kadencji prezydenta: „To Amerykanie, gdy w listopadzie odsuną od władzy zgrzybiałych republikanów”.

AGNIESZKA KACZOROWSKA

Zasiądzie w jury?

W minionym sezonie celebrytka brała udział w „Tańcu z gwiazdami” ze swym obecnym ukochanym – aktorem Marcinem Rogacewiczem. Niestety: nie udało im się zachwycić jurorów ani zdobyć sympatii widzów. Na odchodne nie pożegnali się z resztą ekipy, a oburzony aktor poskarżył się na rzekomo złe traktowanie przez współzawodników. Wyruszyli potem w Polskę z tanecznym spektaklem „Siedem” – i właśnie trasa ta dobiegła końca. W rozmowie z Kozaczką para zapowiedziała, że niebawem poinformuje o nowościach w swym życiu. Kiedy reporterka zapytała czy Kaczorowska wróci do „Tańca z gwiazdami”, jej partner zasugerował: „Byłabyś świetną jurorką”. Potem puścił oczko do produkcji, sugerując, że jego ukochana nie zmieniła numeru telefonu.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Dzień sprzyja bliskim relacjom i spokojnym rozmowom. Horoskop dzienny radzi zadbać o własny komfort.

Ryby (19.02 - 20.03)

Kreatywność pomoże ci rozwiązać trudny problem. Horoskop na dziś wyraźnie zapowiada, że wieczór przyniesie bardzo miłe zaskoczenie...

Baran (21.03 - 19.04)

Obowiązki pójdą dzisiaj sprawniej niż zwykle. Horoskop dzienny na piątek stanowczo radzi uważać jednak na zbyt impulsywne reakcje.

Byk (20.04 - 20.05)

Niespodziewane spotkanie poprawi nastroj. Horoskop dzienny wróży, że wieczorem znajdziesz czas na relaks.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Dobra energia doda ci motywacji. Horoskop na dziś mówi, że ktoś doceni twoje zaangażowanie i cierpliwość.

Rak (22.06 - 22.07)

Korzystny dzień na zakupy i ważne decyzje. Horoskop dzienny na piątek podpowiada, by unikać plotek oraz niepotrzebnego napięcia.

Lew (23.07 - 22.08)

Spokojne podejście pomoże rozwiązać problem. Horoskop dzienny bardzo wyraźnie wróży, że wieczór sprzyja dobrym wiadomościom.

Panna (23.08 - 22.09)

Twoja pewność siebie doda Ci wiary w własne możliwości. Horoskop na dziś mówi, że warto zaufać własnej intuicji mocno i pójść za ciosem.

Waga (23.09 - 22.10)

Dzień sprzyja odpoczynkowi i porządkom. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że wieczorem pojawi się ciekawa okazja towarzyska.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Nowe pomysły poprawią humor. Horoskop dzienny wróży, że ktoś bliski poprosi cię o wsparcie i rozmowę.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Czeka cię udana rozmowa i drobny sukces finansowy. Horoskop na dziś to wskazówka, by unikać pośpiechu oraz zbędnych sporów.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Energia będzie sprzyjać podejmowaniu decyzji. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że wieczór przyniesie dobrą wiadomość.

LIGA EUROPY PIŁKARZ ASTON VILLI JEST 13. REPREZENTANTEM POLSKI, KTÓRY SIĘGNAŁ PO TEN TYTUŁ

Matty Cash z piłkarskim trofeum

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

Aston Villa w środowy wieczór sięgnęła po zwycięstwo w finale Ligi Europy. Całe spotkanie rozegrał Matty Cash. Dla reprezentanta Polski było to pierwsze trofeum w piłkarskiej karierze.

Finał drugich najważniejszych rozgrywek klubowych UEFA od początku do końca został zdominowany przez jeden zespół. Aston Villa już po pierwszej połowie prowadziła 2:0 po dwóch efektownych trafieniach. Najpierw w 41. minucie wynik spotkania w Stambule otworzył belgijski pomocnik Youri Tielemans. Natomiast tuż przed przerwą do bramki przedstawił Argentiniec Emiliano Buendia. W drugiej połowie zespół z Birmingham przypieczętował zwycięstwo. Wynik na 3:0 ustalił niesamowity w tym sezonie 23-letni Morgan Rogers.

Matty Cash już w 21. minucie otrzymał żółtą kartkę po ostrym

faulu na Vincenzo Grifo, co mocno utrudniło mu grę w dalszej części spotkania. Mimo to, trener Unai Emery postanowił pozostawić swojego zawodnika na boisku do ostatniego gwizdka sędziego.

- Prawy obrońca znalazł się w trudnej sytuacji po tym, jak już na początku meczu otrzymał żółtą kartkę za nieostrożny faul, ale poradził sobie z tym bezbłędnie, choć jego podania nie zawsze były celne - ocenił występ 28-latkę portal Goal.com.

Piłkarz Aston Villi został trzynastym reprezentantem Polski w historii, który sięgnął po triumf w europejskich rozgrywkach klubowych. W tym gronie są też między innymi Zbigniew Boniek, Jerzy Dudek, Robert Lewandowski czy Grzegorz Krychowiak. Ten ostatni w 2015 roku, będąc zawodnikiem hiszpańskiej ekipy Sevilla FC, wygrał Ligę Europy po zwycięstwie w finale na stadionie PGE Narodowy w Warszawie z ukraińskim Dnipro Dniepropietrowsk, a trenerem andalu-



Matty Cash po meczu w Stambule nie ukrywał radości ze zgarnięcia trofeum. Razem z zespołem świętowali zwycięstwo

zyjskiej drużyny był wtedy również Unai Emery.

Matty Cash po meczu w Stambule nie ukrywał radości ze zgarnięcia trofeum. Dla Aston Villi natomiast był to pierwszy triumf w jakichkol-

wiek rozgrywkach od 24 lat, kiedy to wygrała nieistniejący już Puchar Intertoto. - Był półfinał Ligi Konferencji, ćwierćfinał Ligi Mistrzów. Byliśmy blisko szczytu, ale czegoś brakowało. Teraz czujemy się niesamowicie,

to zostanie z nami na długo. (...) Trzeba się napracować, żeby wygrać to trofeum. Niewiarygodne, że się udało! Będziemy bawić się do rana - powiedział 25-krotny reprezentant Polski w rozmowie z Polsat Sport.

Triumf Aston Villi w finale Ligi Europy istotnie wpłynął też na... losy w Europie wicemistrza Polski. Wyjaśniło się, że w 2. rundzie eliminacji Ligi Mistrzów trafi na austriacki Sturm Graz lub tureckie Fenerbahce Stambuł. Jeśli jakimś cudem przejdzie któryś z wymienionych solidnych europejskich marek, będzie mieć pewną fazę ligową Ligę Europy (nie „spadnie” do 4. rundy eliminacji Ligi Europy).

W tym sezonie do rozegrania pozostały jeszcze 3 wielkie finały klubowych rozgrywek UEFA. W najbliższą sobotę w Oslo zostanie rozegrany finał Ligi Mistrzów, w którym FC Barcelona z Ewą Pajor w składzie zmierzy się z Olympique Lyon. W kolejną środę w finale Ligi Konferencji na Red Bull Arena w Lipsku zmierzą się angielski Crystal Palace i hiszpańskie Rayo Vallecano. Natomiast 30 maja na Puskás Aréna w Budapeszcie odbędzie się finał Ligi Mistrzów, w którym zagrają francuskie PSG i angielski Arsenal FC.

©/©

Żuźlowy weekend na praskim Stadionie Markéta

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

ŻUŻEL. Przed nami druga tegoroczna eliminacja żuźlowych mistrzostw świata. Tym razem przenosimy się za południową granicę, a konkretnie do Pragi, gdzie wystartuje aż pięciu Polaków.

Broniący tytułu Bartosz Zmarzlik powalczy w sobotę o czwarte zwycięstwo w turnieju Grand Prix na praskim torze Markéta. Przed rokiem był tu najlepszy.

W czeskiej stolicy wystartują także Kacper Woryna, Patryk Dudek i Dominik Kubera. Oraz...? O tym za chwilę.

Pierwszy tegoroczny turniej żuźlowy Grand Prix - w bawarskim Landshut - zakończył się niespodzianką. Wygrał bowiem debiutujący jako pełnoprawny uczestnik cyklu Kacper Woryna, przed Brytyjczykiem Danielem Bewleyem i Bartoszem Zmarzlikiem. Dudek był siódmy, a Kubera zajął 10. miejsce.

Lubiana przez polskich kibiców i zawodników Stadion Markéta zorganizuje turniej Grand Prix już po raz 32. i pod tym względem ten tor jest rekordzistą w historii odbywającego się od 1995 roku cyklu.

Oprócz Zmarzlika zwyciężali tu Tomasz Gollob, Janusz Koło-

dziej i Maciej Janowski, a na podium stawali także Jarosław Hampel, Patryk Dudek, Krzysztof Kasprzak oraz reprezentujący Białą-Czerwoną barwy Rune Holta.

W ubiegłym roku Bartosz Zmarzlik dołączył do Brytyjczyka Taia Woffindena, Australijczyka Jasona Crumpa, Duńczyka Nickiego Pedersena i Słowaka Martina Vaculika, którzy trzykrotnie wygrywali w Pradze.

W sobotę będzie mógł zostać samodzielnym rekordzistą. Wcześniej pięciokrotnie mistrz świata był tu najlepszy przed rokiem i dwukrotnie w „pandemicznym” sezonie 2020.

W stolicy Czech zabraknie Szweda Fredrika Lindgrena, który doznał kontuzji w ostatnim meczu ligowym jego Orlen Oil Motoru Lublin z Unią Leszno.

Z listy rezerwowych zastąpi go Duńczyk Anders Thomsen. Nie pojedzie również drugi w Landshut Dan Bewley, który miał wypadek podczas ligi duńskiej (ma złamane udo). Zastąpi go reprezentant gospodarzy Jan Kvech, a „dziką kartę” otrzymał nasz Adam Bednar.

W piątek na Markécie odbędą się zawody Speedway of Nations 2 (SON2), czyli drużynowe mistrzostwa świata do lat 21.

Wystąpi osiem zespołów, w tym Polska. Trener reprezen-

tacji Polski Stanisław Chomski powołał na te zawody Wiktora Przyjemskiego (Abramczyk Polonia Bydgoszcz - kapitan), Bartosza Bańbora (Orlen Oil Motor Lublin) i rezerwowego Kevina Małkiewicza (Bayersystem GKM Grudziądz).

Największym nieobecny w polskiej drużynie jest Maksymilian Pawełczak, który niedawno zajął 2. miejsce w finale Srebrnego Kasku, a przed rokiem był liderem reprezentacji podczas finału SoN2 w Toruniu.

Polacy tradycyjnie liczą na złoty medal, a najgroźniejszymi rywalami wydają się Duńczycy z rewelacyjnym w tym roku Villadsem Nagelem i Bastianem Pedersenem na czele.

Piątkowy turniej SON2 rozpocznie się o godz. 17.00, a sobotnia Grand Prix o godz. 19.00. ©/©

Co jeszcze przed nami, czyli kolejne turnieje Grand Prix?:

- 5 czerwca - Manchester (W. Brytania)
- 6 czerwca - Manchester (W. Brytania)
- 20 czerwca - Wrocław
- 11 lipca - Malilla (Szwecja)
- 1 sierpnia - Łódź
- 8 sierpnia - Ryga (Łotwa)
- 12 września - Vojens (Dania)
- 26 września - Toruń

Ruszył siatkarski maraton 2026

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

SIATKÓWKA. W pierwszym meczu towarzyskiego turnieju Silesia Cup, nasi siatkarze przegrali w Sosnowcu z Serbią 2:3 (25:23, 22:25, 26:28, 25:22, 14:16). Polacy zagrają jeszcze z Ukrainą i Bułgarią.

Tym samym, podopieczni trenera Nikoli Grbica rozpoczęli bogaty w wydarzenia - sezon reprezentacyjny.

Serbski szkolenowiec, który został zatrudniony przez PZPS w styczniu 2022 roku, dał odpocząć m.in. Wilfredo Leonowi, Tomaszowi Fornalowi czy Jakubowi Kochanowskiemu.

W składzie meczowym pojawiło się za to wielu młodych zawodników, w tym m.in. Jakub Przybyłkowicz, który został najmłodszym debiutantem w historii polskiej siatkówki (17 lat i 13 dni!)

Utalentowany nastolatek urodził się 7 maja 2009 roku, jest związany z SMS PZPS Spała i Lechią Tomaszów Mazowiecki. W momencie powołania do reprezentacji Polski siatkarzy miał dokładnie 16 lat, 11 miesięcy i 9 dni. 17. urodziny obchodził na zgrupowaniu kadry w Spale.

Silesia Cup to jedyny turniej towarzyski, który Białą-Czer-



Marcel Bakaj, Alaksiej Nasewicz i Bartłomiej Lemański kontra Serb Nikola Brborić w meczu towarzyskim

woni zagrają przed rozpoczęciem 10 czerwca Ligą Narodów (w piątek z Ukrainą, a w sobotę z Bułgarią - oba mecze w Katowicach o godz. 20.00).

W pierwszym tygodniu zmagania „2026 FIVB Volleyball Men's Nations League”, Polacy zmierzą się w chińskim Linyi z Kubą, Słowenią, Japonią i Ukrainą (10-14 czerwca).

Kolejne turnieju Ligi Narodów to 24-28 czerwca - Gliwice, 15-19 lipca - Chicago i 29 lipca-2 sierpnia turniej finałowy, ponownie w Chinach, tyle że tym razem w Ningbo.

Po powrocie do kraju, naszych siatkarzy czeka Memoriał

Huberta Jerzego Wagnera w Krakowie (28-30 sierpnia).

Najważniejszą imprezą w tym roku są oczywiście mistrzostwa Europy, rozgrywane w Bułgarii i we Włoszech w dniach 9-26 września br., w których nasi siatkarze będą bronić tytułu.

Rozgrywki kontynentalne mają w tym roku podwójną stawkę - oprócz tytułu, zwycięzca wywalczy również kwalifikację na Igrzyska XXXIV Olimpiady, które w 2028 roku zorganizuje Los Angeles.

W tym roku, polskich siatkarzy czeka co najmniej 30 meczów reprezentacyjnych. ©/©

PIŁKA NOŻNA WALKA O PUNKTY OD PKO EKSTRAKLASY PO IV LIGĘ

Pogoń kończy. To GKS ma presję

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

Przed nami ostatnia kolejka sezonu 2025/26 PKO Ekstraklasy. Na szczęście Pogoń jest już bezpieczna, spadek jej nie grozi, a może powalczyć co najwyżej o 7. miejsce.

Wszystkie mecze ekstraklasy rozpoczną się w sobotę o godz. 17.30. Seria będzie ciekawa. Znamy mistrza Polski (Lech), ale kto uzupełni podium? W grze są Górnik Zabrze (podejmie Radomiak), Jagiellonia Białystok (podejmie Zagłębie Lubin) i Raków Częstochowa (podejmie Arkę). Z elity spadną Termalica Nieciecza, Arka Gdynia i... Widzew Łódź, Cracovia lub Piast. Nerwowo będzie w Łodzi (Widzew - Piast) oraz w Krakowie (przyjedzie tam Korona).

Mecz Pogoni z GKS Katowice też ma znaczenie. Nie ma większej różnicy, czy Pogoń zajmie 7. czy np. 12. miejsce, ale po rozczarującym sezonie ma szansę zagrać ładnie dla oka, zakończyć dobrze sezon, zre-

wanżować się Gieksie za jesienną porażkę (0:2), a przy okazji zrzucić tego rywala z 5. pozycji w tabeli. Na wygraną Pogoni mocno liczy... Legia, która może zając 5. miejsce i przebić się do eliminacji Ligi Konferencji.

W Pogoni zabranie Valentina Cojocar (kartki), którego pewnie zastąpi Krzysztof Kamiński, któremu kończy się kontrakt z klubem.

W składzie GKS będą chcieli się pokazać byli Portowcy - Kacper Łukasiak i Marcel Wędrychowski. Trafili do katowickiego klubu rok temu, gdy Pogoń nie zaproponowała im podwyżek. W GKS spełniają głównie rolę rezerwowych.

III LIGA

Bardzo trudny mecz przez zespołem Świt Szczecin, którzy w sobotę o godz. 17 rozpoczną walkę z Rekordem w Bielsku-Białej.

Świt, Rekord, Stal Stalowa Wola i Resovia Rzeszów rywalizują teraz o uniknięcie gry w barażach o utrzymanie. Szczecinianie mają 44 oczka,



Krzysztof Kamiński w Pogoni był drugim bramkarzem. Grał sporadycznie. Jak zagra świetnie z GKS może klub będzie chciał go zatrzymać na kolejny sezon

Rekord 43, Stal i Resovia po 40. Ale w tej serii Stal dostanie 3 punkty za walkowera z GKS Jastrzębie. Tym samym remis w Bielsku to dla obu ekip duże ryzyko, a tylko zwycięzca będzie już spokojny przed ostatnią kolejką, która będzie roze-

grana za tydzień. - W ostatnim czasie udało się ugasić kilka pożarów, które miały wpływ na funkcjonowanie drużyny - stwierdził kilka dni temu Marcin Sasal. Tym samym trener Świt zasignalizował, że końcówka ligi będzie spokojniejsza.

III LIGA

Program spotkań zespołów z Pomorza Zach.: Flota Świnoujście-Cartusia Kartuzy (piątek, godz. 18), Tłuchowia Tłuchowo - Błękitni Stargard (piątek, g. 17.30), Unia Swarzędz - Wybrzeże Rewal (sobota, g. 13), Kluczewia Stargard

- Polonia Środa (sobota, g. 15), Pogoń II Szczecin - Wda Świecie (niedziela, g. 17).

IV LIGA

30. kolejki. Sobota: godz. 12 Gryf Kamień Pom. - Chemik Police, g. 13 Biali Sądów - Bałtyk Koszalin, g. 15 Astra Ustronie Morskie - Iskierka Szczecin, g. 16.30 Gwardia Koszalin - Orzeł Wałcz. Niedziela: g. 12 Błękitni II Stargard - Sparta Gryfice, g. 13.45 Świt II Szczecin - Darłovia Darłowo, g. 16 Ina Goleniów - Dąb Dębno.

ORLEN EKSTRA LIGA PAŃ

Przed nami przedostatnia seria. Pogoń zagra w Łęcznej (sobota, godz. 16), a stawką spotkania jest wicemistrzostwo Polski. Portowianki mają 45 punktów, Górnik jeden mniej.

W ten weekend możemy poznać też mistrzynię. Czarni Sosnowiec przed tygodniem przegrali finał Pucharu Polski, więc na mecz ligowy we Wrocławiu wyjdą mocno zmobilizowane, by wypełnić zadanie.

©

Ból, płacz i rozpacz. Andrzej Mazurczak i Zastal zakończyli sezon Kinga

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

KOSZYKÓWKA. King Szczecin przegrał trzeci mecz z rzędu z Zastalem Zielona Góra i całą ćwierćfinałową rywalizację 1:3. Tym samym sezon 2025/26 jest dla Szczecinian zakończony.

Po trzech meczach ćwierćfinałowej rywalizacji Zastal prowadził z Kingiem 2:1 i potrzebował tylko jednej wygranej do awansu. Szczecinianie chcieli w środowy wieczór wyrównać stan serii i wrócić do siebie na piąte, decydujące starcie.

King rozpoczął mecz ze zmianami w składzie. W piątce - Jeremy Roacha zastąpił Noah Freidel, a w meczowej rotacji Malcolma Dandridga - Ondrej Hustak. To była dobra decyzja, bo Freidel do przerwy zdobył 20 punktów i utrzymywał Kinga przy życiu.

Czemu King przegrał? Złożyło się na to kilka czynników. W tej serii brakowało jakościowego rozegrania akcji w ataku pozycyjnym. To nie była seria Jovana Novaka. Naciskany - nie radził sobie. Jeremy Roach miał dobre i słabe momenty. Błysnął w pierwszym meczu (rzut na zwycięstwo), ale w kolejnych nie prezentował nic nad-

zwyczajnego, choć skuteczność miał dobrą. Na ich tle - Andrzej Mazurczak był po prostu szefem, grał na zdecydowanie wyższym poziomie.

King w ataku mocno męczył się także przez swoje chwilami absurdalne straty. W środę Nemanja Popović w pierwszych minutach zanotował 4 straty i w zasadzie nie odbudował się do końca meczu. Jak kluczowy mecz rozpoczyna się tak źle, to jak zespół ma złapać pewność siebie? W całej serii Zastal nie dał Kingowi momentu, by ten poczuł się swobodnie, złapał luz i odjechał. Grał z poświęceniem w defensywie, taktycznie był gotowy do rywalizacji, a King jeszcze mu pomagał stratami. Bo nie tylko wspomniany Popović miał kłopot z opanowaniem emocji, kontrolą piłki. W każdym meczu liczba strat przekładała się na punkty Zielonogórszan, a jak wziąć pod uwagę wyniki spotkań - to miało to decydujące znaczenie.

Kolejny czynnik - defensywa. Mazurczak bawił się z obroną Kinga, a jego koledzy nadzwyczajnie korzystali też ze złych reakcji, ustawień w obronie Wilków. Szczecinianie tylko raz zatrzymali Zastal poniżej 80 punktów. Niestety, w każdym meczu tych defensywnych błę-



Noah Freidel w I połowie zdobył 20 punktów, w drugiej tylko 5. Był lepiej kryty, ale i zespół mu nie pomógł

dów było za dużo - najbardziej bolesne było gubienie się na zasłonach, po których rywale rzucał trójki. A rzucał przy dobrej skuteczności. Podkoszowi Patrick Cartier i Krzysztof Sulima będą dobrze wspominać tę serię, bo ich trójeczki dawały zwycięstwa. Niestety, reakcji Kinga zabrakło.

King zaraz po środowym meczu nie mógł szukać tanich usprawiedliwień (gospodarskie gwizdki, zawodnicy nie w pełni sił po urazach). Zagrał w pełnym składzie, czego nie można powiedzieć o drużynie przeciwnika (nie grał najlepszy strzelec - Chavaughn Lewis).

Przegrał, bo był zbyt nerwowo, a na wymaganym poziomie zagrał tylko Noah Freidel. Dzielnie próbował go wspomagać w ataku Tomasz Gielo, ale już w defensywie reprezentant Polski nie był filarem.

- Gratulacje dla Zastala. Zasluzenie nas pokonali - pokazali duzo ambicji, duzo energii. Byliśmy blisko, ale nie zdołaliśmy tego dobrze zakończyć. Ciężka dla mnie porażka, jedna z najbardziej bolesnych w karierze. Wiem, że teraz czas podsumowań i kończymy sezon smutni, ale musimy pamiętać, że przez ostatnie miesiące wykonaliśmy kawał dobrej pracy, sukcesem

zakończyliśmy rundę zasadniczą, zgarneiliśmy indywidualne nagrody. Mam nadzieję, że to dopiero początek budowy silnego zespołu w Szczecinie - mówił Gielo.

Wszystko to prawda, ale... jeszcze bardziej boli fakt, że 2. zespół przegrał z 8. po rundzie zasadniczej. I przegrał zdecydowanie.

- Zastal był od nas lepszy. W każdym meczu znaleźli gracza, który dawał coś ekstra i choćby tym wygrywali. W środę zgarneiliśmy najlepszy mecz tej serii, walczyliśmy do końca, ale nie dało to nic. Porażka boli nas wszystkich, ale chciałbym podziękować wszystkim za ten sezon - zawodnikom, trenerom. Mamy do wyciągnięcia dużo wniosków, bo to mocna dla nas nauka, ale mam nadzieję, że będziemy kontynuować obronę rok temu drogę - mówił Maciej Majcherek, trener Kinga. - Trafiliśmy na świetnie dysponowanego przeciwnika. Walczyliśmy ile sił, ale ta liga była tak wyrównana, że nie można mówić o jakiejś sensacji.

Co dalej z drużyną Kinga? Przebudowa. Ważne kontrakty mają Gielo, Przemysław Żołnierewicz, Mateusz Kostrzewski, Novak, Ondrej Hustak, Antoni Majcherek i Max Egner. Nie jest

przesądzone, że wszyscy zostaną, bo część może mieć już inne plany na swój rozwój.

Pozostali obcokrajowcy pewnie będą się rozglądać za zmianą ligi i poprawą zarobków. Dotyczy to również drugiego trenera - Lubomira Ruzickę, który angaż w Kingu traktował jak inwestycję w siebie.

Kluczowe jest jednak pytanie, kto poprowadzi Kinga. Za trenerem Majcherkiem debiutancki sezon i to był dobry rok: ciekawy dobór zawodników, bardzo dobra postawa w rundzie zasadniczej. Zabrakło - wejścia do strefy medalowej, ale to dla młodego szkoleniowca lekcja na przyszłość. Czy więc zmiana (sprowadzenie bardziej doświadczonego trenera lub z zagranicy) jest potrzebna? W tym momencie absolutnie nie.

ZASTAL ZIELONA GÓRA - KING SZCZECIN 86:80

Kwarty: 23:18, 24:25, 15:21, 22:16.

Zastal: Garrison 9 (1), Mazurczak 23 (4), Sulima 2, Szumert 21 (1), Maughmer 5 (1) - Majewski 0, Matczak 8 (2), Fayne 6, Cartier 10 (2), Woronicki 0.

King: Popović 2, Novak 8 (1), Gielo 16 (4), Freidel 25 (5), Roberts 7 (1) - Roach 9 (3), Hustak 3 (1), Ucieszyński 0, Żołnierewicz 9, Kostrzewski 1. Zastal ma teraz tydzień przerwy, a w weekend pozna swojego rywala. ©